Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

ROK VI NR. 8 (119) MIESIĘCZNIK POD RED. JERZEGO BRAUNA LISTOPAD 1937 R. CENA 50 GR.

# „Demokracja kierowana"?

W wystąpieniach publicznych czołowych przedstawicieli OZN padło już kilkakrotnie to hasło: „demokracja kierowana". Nie usłyszeliśmy jednak dotąd co rozumieją oni pod tymi słowami. Chcemy wierzyć, że nie jest to tylko „slogan" z rzędu tych, jakie mnożą się dziś jak króliki, na skutek powszechnej wiary mas i partyj w magiczną moc haseł sztandarowych. Przypuszczamy więc, że „demokracja kierowana" to tylko skrót pojęciowy na oznaczenie określonego, głęboko przemyślanego systemu zasad, składających się na koncepcję nowego ustroju społeczno-politycznego, narodzoną w głowach twórców tej frapującej definicji.

Cała ludzkość zmaga się dziś z zagadką doskonałego ustroju, kojarzącego harmonijnie rozdmuchane poczucie wolności indywidualnej z dobrem zbiorowości i autorytetem nadrzędnym władzy. Morze krwi wylano w walce o rozwiązanie tego problemu, świat jęczy w bólach porodowych, straszniejszych może od tych, jakie przeżyła ludzkość u progu ery chrześcijańskiej. I nic dziwnego. Nowy, lepszy ustrój prawnopolityczny, to problem tak trudny i zawiły, że zrodzić się on może albo z potężnych wstrząsów dziejowych, jak faszyzm czy bolszewizm, albo też z najgłębszych historiozoficznych przemyśleń. Z rękawa się go wytrząsnąć nie da, rozkaz go nie stworzy, dyskusja przy zielonym stole nie da mu realnych szans i treści.

Dlatego radzibyśmy dowiedzieć się choć w przybliżeniu, na jakich podstawach rozumowych opiera się owa „demokracja kierowana", jakie są jej przesłanki filozoficzne i jej teoria prawna. Wydaje się nam bowiem, że w samym zestawieniu tych dwu terminów „demokracja" i „kierownictwo" tkwi sprzeczność niepojednalna, choćby dlatego, że demokracja to „władza od dołu", oparta na fikcji prawnej „umowy społecznej", zaś pojęcie „kierowania" implikuje koniecznie hierarchię i dyscyplinę, oraz wytyczanie i narzucanie celów i metod przez jakąś „władzę od góry", niezależną w swym istnieniu od kartki wyborczej.

Pytamy się o to nie dlatego, byśmy sądzili, że pogodzenie tej sprzeczności jest niemożliwe; przeciwnie, sądzimy, że „coś w tym jest", że „generalna linia" tej koncepcji jest dobrze wymierzona. Mamy tu jednak do czynienia z typową *antynomią rozumu*, tzn. normalnie funkcjonujący rozum ludzki, ograniczony zasadą wyłączonego środka, nigdy nie pojmie możliwości połączenia dwu pojęć tak diametralnie sprzecznych, o ile nie da mu się jakiejś *racji wyższej*, czyniącej możliwym to połączenie. Otóż, pozwalamy sobie wątpić, czy twórcy koncepcji „demokracji kierowanej" umieliby podać tę rację, a więc, czy koncepcja ich stanowi racjonalny systemat, z którego da się wyprowadzić pozytywne normy prawne, realnie określające ustrój państwa polskiego.

W Polsce toczy się dziś na łamach prasy i w „terenie" spór o demokrację i totalizm. Było to nieuniknione, gdyż 90% Polaków odrzuciło zarówno komunizm jak faszyzm, co spowodowało konieczność wynalezienia jakiejś zasady trzeciej, jako podstawy ideowej rdzennie polskiego ustroju. Moment ten wykorzystała przede wszystkim masoneria, lansując chytrze myśl, że tą trzecią, rdzennie polską zasadą jest *de-*

---

## Konfiskata „Zetu".

Numer poprzedni naszego pisma został skonfiskowany za artykuł wstępny. W związku z tym otrzymaliśmy z Komisariatu Rządu m. st. Warszawy następujące pismo:

Upatrując w art. pt. „Nad Polską wisi gniew Boży", zamieszczonym w czasopiśmie „Zet" z datą wrzesień — październik 1937 r., nr. 6-7, cechy przestępstwa przewidzianego w art. 170 k. k. — na zasadzie art. 27 dekretu z dnia 7.II 1919 r. w przedmiocie tymczasowych przepisów prasowych (Dz. Pr. 1919 r., nr. 14, poz. 186) obłożyłem aresztem w dniu 2. XI 1937 r. wyżej wymienione czasopismo przy równoczesnym skierowaniu sprawy do Pana Prokuratora Sądu Okręgowego w Warszawie.

Za Komisarza Rządu

(—) *J. Jędrzejewicz*
Referendarz

*moliberalizm*, czyli demokracja parlamentarna pod komendą braci w fartuszkach. Na przeciwległym krańcu znalazł się młody, radykalny nacjonalizm, wołający o „katolickie państwo narodu polskiego“, czy nawet wręcz o „katolicki totalizm“. Główny argument tej grupy brzmi: Totalizm jest powszechną i konieczną formą ustrojową epoki idącej. Wyzwala on w narodach nowe, niespodziane energie twórcze. Ważniejszą jednak od formy jest w totaliźmie idea, która go ożywia. Idea ta może być zła lub dobra, prawdziwa lub fałszywa. Komunizm, rasizm, statolatria, to fałszywe treści ideowe, wypełniające trafną i pożyteczną formę. Prawdziwy totalizm, aby mógł objąć całego człowieka, musi oprzeć się na absolucie, uznać Boga jako zasadę pierwszą i ostateczną. Polska jest krajem tradycyjnie katolickim, antemurale christianitatis. A więc *totalizm katolicki* jest właśnie tą trzecią, rdzennie polską zasadą.

Widzimy tedy, że wewnątrz antynomii: faszyzm — komunizm, ściskającej nas od zewnątrz w swych potężnych kleszczach, powstaje wewnątrz Polski nowa, specyficzna antynomia, której człony to: masoński demoliberalizm i katolicki totalizm. To nam wyjaśnia zagadkę ostatnich przeobrażeń politycznych. OZN, chcąc skonsolidować Polaków, w imię obrony państwa, musiał wyposażyć swą deklarację ideową w akcenty nacjonalistyczne i katolickie. Podczas gdy w samym Ozonie wiadome bractwo salwowało swe wpływy, ekspozytura „młodzieżowa“ OZN, Związek Młodej Polski, był ukłonem w stronę katolickiego totalizmu, wyznawanego przez wszystkie grupy ONR. Strach przed tym koniem trojańskim zmobilizował od razu gwałtowną kontrofensywę masonerii, głoszącej „wojnę świętą“ w obronie starej fikcji demoliberalnej. Akcja ta poderwała do ataku zarówno lewicę legionową, jak PPS (wizyta na Zamku). Czwórporozumienie organizacyj młodzieżowych, pod komendą „naprawiaczy“, zaliczyć trzeba do tego samego frontu.

W obecnej fazie demoliberalizm ma inicjatywę w swych rękach, OZN jest najwyraźniej w defensywie. Lecz triumf mafii demoliberalnej byłby katastrofą i wstecznictwem, wbrew jej frazesom o postępie. Stara wyświechtana „demokracja“ XIX-stowieczna nie ma nic wspólnego z ową polską zasadą ustrojową. Powoływanie się na ducha dziejów Polski jest tedy, ze strony naszej masonerii, zwykłym szantażem historycznym. Ustrój Polski szlacheckiej był „wolnościowy“, lecz w całkiem innym sensie; był on antycypacją ustroju doskonałego, mającego właśnie uzgodnić dwie przeciwne zasady: „prawo Boże“ i „prawo ludzkie“, czyli „władzę od góry“ i „władzę od dołu“. W niczym on nie był podobny do fałszu demoliberalnego, gdzie „prawo Boże“ jest całkowicie odrzucone ,a pod maską „wyłącznej władzy ludu“ harcuje nieodpowiedzialna, tajna dyktatura lóż, uważająca lud za „mierzwę“ i „stado baranów“.

Tak więc chorążowie totalizmu mają nad przeciwnikiem tę przewagę, że zostawili w tyle „ginący świat“ demoliberalnych mamutów i stanęli na wyższym piętrze historii. Czy jednak totalizm, choćby nawet katolicki, jest naprawdę tą ostateczną formą ustrojową idącej ery? Czy Polsce wolno zatrzymywać się na tym etapie?

Na łamach dyskutującej prasy pojęcie totalizmu jest zazwyczaj mętne i niezdefiniowane. Czy jest to pojęcie polityczne, czy moralno - filozoficzne? Czy mowa o totaliźmie, jako ustroju zorganizowanego przymusu, czy o totaliźmie, jako o supremacji bezwzględnej jakiejś zasady powszechnej, wypełniającej sobą bez reszty życie jednostek i zbiorowisk ludzkich? Ale mniejsza o to. Wystarczą nam tu stwierdzenia czysto formalne: a) totalizm jest formą ustrojową wyższą i powszechniejszą, niż np. faszyzm czy komunizm, występuje bowiem zarówno w Rosji sowieckiej, jak w faszystowskiej Italii; b) wszędzie, gdzie pojawia się ustrój totalny, występuje również — jako jego współodpowiednik — „monopartia“, czyli, w terminologii teoretyków naszych grup narodowych, „organizacja polityczna narodu“, likwidująca wszystkie inne partie polityczne; c) monopartia i totalizm to Janusowe oblicze specyficznej dla okresu powojennego formacji ustrojowej, będącej fazą przygotowawczą i przejściową w procesie tworzenia się tzw. IDEOKRACJI.

Żyjemy w czasach rozbudzonej dążności do absolutu, czyli do zasady bezwzględnej i powszechnej, zdolnej stać się fundamentem trwałego pokoju i ładu moralnego. Następstwem tego jest powstawanie idej dynamicznych, owładających zbiorowiskami ludzkimi dzięki temu, że są one uważane, każda z osobna, za ów poszukiwany absolut. Nośnikami tych idej są, czy raczej chcą być narody, masy, klasy społeczne, przyznające sobie specjalne posłannictwa dziejowe. Posłanniczość jest zatem charakterem moralnym epoki współczesnej, zaś jej uniwersalną zasadą ustrojową, dziś jeszcze niewyraźnie wykrystalizowaną, jest *ideokracja*, czyli rząd idei.

Proces ten rozpoczął się właściwie już podczas rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich, tj. z chwilą, gdy wystąpiła na jaw gwałtowna antynomia społeczna prawicy i lewicy. Już wówczas stało się jasne dla umysłów wielkiej miary, że żywioł zachowawczy i postępowy to dwa różnorodne typy świadomości ludzkiej, że żaden z nich nie potrafi przekonać drugiego o słuszności swych zasad, że tedy będą one dążyć do wzajemnego wyniszczenia, i że problemem powszechnym ludzkości jest dziś stworzenie takiego ustroju, który by zestroił w jedność te dwa wrogie żywioły. Pierwszą próbą tego zgodzenia był system napoleoński, czyli *pierwotny ustrój antynomialny*, utożsamiający w osobie zwierzchnika „władzę od góry“ z „władzą od dołu“.

Genialna próba Bonapartego zawaliła się razem z nim. Nastąpiło prowizorium, trwające przez cały wiek XIX-ty, zwane demokracją parlamentarną. System ten tworzył pozorną równowagę między prawicą a lewicą, równowagę możliwą dzięki temu, że dyktatura lóż żonglowała z za kulis obydwu tymi elementami. Fikcja ta pękła w ogniu wojny światowej. Antynomia społeczna wybuchła z ogromną siłą, przybierając postać walki bezwzględnej faszyzmu i komunizmu, przy czym pierwszy z nich otwarcie wyeliminował lewicę, drugi zaś prawicę, dążąc do masowego jej wytępienia. Demokrację parlamentarną zastąpił *antyparlamentaryzm*, spetryfikowany wreszcie w system monopartyjno-totalistyczny.

Racją historyczno-prawną tego zniesienia wolnej gry sił społecznych i narzucenia organizacji z góry, stał się cel wyższy, idea, misja dziejowa, realizacja wielkiego planu, wymagająca zmobilizowania wszystkich rozporządzalnych zasobów materialnych i duchowych. W ten sposób monopartia i totalizm stały się laboratorium nadchodzącej ideokracji. Przedtem zaś wynurzyły się z ich plazmy dwie zasady wyższe:

naród, jako jedność absolutna i państwo, jako absolutny suweren.

Rzecz charakterystyczna: w Polsce te dwie zasady doszły do samowiedzy znacznie wcześniej i bez udziału katalizatora totalnego. Od dawna już, w ciągu wieków, krystalizowały się u nas te dwie formacje przeciwstawne: obóz państwotwórczy i obóz narodowy, dochodząc w Polsce odrodzonej do wytworzenia czystej teorii państwa i czystej teorii narodu. Antynomia społeczna dźwignęła się więc u nas na wyższy szczebel niż gdzieindziej; zarazem posunął się naprzód proces asymilacji wzajemnej obydwu wrogich żywiołów, gdyż zarówno obóz państwowy, jak obóz narodowy mają w sobie cechy tak zachowawczo-prawicowe jak radykalno-lewicowe.

Cofnięcie się ku monopartii i totalizmowi było by tedy w Polsce niepożądane. Trzeba natomiast pójść wyżej, ku głębszej symbiozie czynnika narodowego i państwowego. Jest nią właśnie ideokracja, ku jakiej zmierza dziś intuicyjnie całe młode pokolenie Polski.

Czysta ideokracja, wyłuskana z poczwarczej skorupy totalizmu i monopartii ma jednak w sobie ten brak, tę niedokończoność, że nie przynosi form ustrojowych dla swojej dynamiki twórczej. Wyczuli to podświadomie twórcy OZN, dążąc do owej tak niefortunnie ochrzczonej „demokracji kierowanej". Bo formą ustrojową ideokracji jest *ustrój antynomialny*, godzący w sobie na wyższej płaszczyźnie pojęcia „władzy od dołu" i „władzy od góry", pozornie niesprzymierzalne.

Istotą ustroju antynomialnego jest równość praw obydwu przeciwstawnych obozów społecznych, oraz tożsamość rządów narodu i rządów jednostki. Powstaje tak nierozerwalna całostka narodowo-państwowa, której ośrodkiem i symbolem jest Ciało Kierownicze, złożone z mianowańców zwierzchnika, pochodzących z obu obozów. Instytucja ta, pozbawiona władzy wykonawczej, reprezentuje jednak osobowość historyczną narodu, wytycza bowiem cel końcowy państwa i ustala na długą metę plan realizacji misji dziejowej. (Przypominamy próby stworzenia Ciała Kierowniczego: w Rosji Politbiuro, w Ameryce „Trust mózgów"; ostatnio w Hiszpanii gen. Franco i w Japonii powołuje się do życia instytucje wyraźnie bliskie tej koncepcji).

Idea Ciała Kierowniczego i ustroju antynomialnego wynika ściśle z polskiej teorii rzeczywistości, gdzie postęp dziejowy wyjaśnia się nie przez walkę ras czy walkę klas, lecz przez walkę dwu typów przeciwstawnych świadomości ludzkiej. A więc jedynie tutaj należy szukać owej trzeciej, rdzennie polskiej zasady ustrojowej.

# Zręby wychowania polskiego

Chcę poniżej naszkicować zasadnicze tezy polskiego systemu wychowania. Zdaję sobie sprawę z trudności tego przedsięwzięcia, nie mniej jednak trzeba je podjąć, bowiem problemy wychowawcze w Polsce weszły już obecnie w takie stadium, że domagają się pozytywnego rozstrzygnięcia, choćby na razie w postaci sformułowania zasadniczego kierunku wychowania, co mogło by posłużyć do podjęcia szerokiej dyskusji na temat szkoły polskiej.

## Tezy naczelne polskiego wychowania

Zagadnienie wychowania wraz z zagadnieniem obrony państwa muszą stać się dla nas, Polaków, dwoma naczelnymi problemami i muszą znaleźć rozwiązanie istotne a nie papierowe, jeśli chcemy ustalić na trwałe pozycję naszą jako państwa i narodu w systemie kultury zachodnio-europejskiej.

Przyjmuję jako bezsporną następującą dyrektywę wychowania polskiego: *System wychowawczy polski musi się oprzeć na zespole idej wychohowawczych, wypracowanych przez geniusz narodu.* U podstawy wychowania i szkoły naszej założone być muszą fundamenty polskości: są to idee transcendentne i etyczne chrystianizmu, oraz idee filozofii i sztuki polskiej. Katechizmem wychowania polskiego (narodowego i państwowego, gdyż oba te wychowania są dwoma aspektami tej samej rzeczy) muszą być źródła twórcze narodu.

Stąd, powtarzam, teza naczelna naszego systemu wychowawczego: *Wychowanie polskie musi się oprzeć na zespole idej spirytualistycznych,* na chrystianizmie, biorąc zaś pod uwagę wkład myśli filozoficznej polskiej do myśli religijnej chrystianizmu, powiemy: *wychowanie polskie musi się oprzeć na chrystianizmie spełnionym.* Musimy sobie uprzytomnić to wyraźnie, że żaden twórca aktywnego czynu narodowego, żaden wybitny myśliciel polski, ani artysta nie propagował idej sprzecznych z zasadami chrystianizmu, owszem, najwybitniejsi myśliciele nasi przyjętą ideę chrystianizmu zdynamizowali, domagając się powszechnej realizacji jej tez naczelnych w życiu publicznym i prywatnym. Stąd wypływa idea sprawiedliwości społecznej *przez afirmację Boga a nie Jego negację.*

Żaden myśliciel polski nie głosił doktryny materializmu dziejowego, nie wolno więc szkole polskiej ani polskiemu wychowaniu tych idej propagować i na nich się opierać. One naród ubożą i z sił twórczych wyjaławiają. Odrzucić musimy w wychowaniu naszym *a limine* wszelkie kokietowanie marksizmu. To jest podstawowy warunek czystości wychowania polskiego. Gdyby był należycie przestrzegany, szkoła polska nie przeżywałaby obecnie kryzysu tak zgubnego dla rozwoju mocarstwowego Polski.

## Cel wychowania

Dotychczas wychowanie nasze osadzone jest na przesłankach ideowych laicko-wolnomyślnych. Formułują to tezy „Podstaw ideowych szkoły ogólnokształcącej":

> „Celem szkoły jest wychowanie i kształcenie młodzieży na świadomych swych obowiązków i twórczych obywateli, rozumiejących współodpowiedzialność w dostępnym sobie zakresie za całość i losy Rzeczypospolitej. Zmierzając do osiągnięcia tego celu naczelnego — społeczno - obywatelskiego przygotowania swych wychowanków, szkoła musi wszechstronnie rozwijać ich osobowość przez urabianie w dziedzinie religijnej, moralnej, umysłowej i fizycznej".

Temu sformułowaniu podstaw wychowania współczesnego w Polsce brak wskazania celu najpierwotniejszego wychowania. W ujęciu polskiej filozofii brzmi on następująco: „*Wychowanie powinno i nie może mieć innego celu, jak cel samej ludzkości*“. Celem zaś ludzkości według chrystianizmu, którego idee ostały się bezapelacyjnie w obliczu krytycznej myśli filozoficznej całej ludzkości (i polskiej), jest realizacja planu Bożego. Plan Boży nie zostanie zrealizowany ,dopóki nie odkryje się *prawdy bezwzględnej i dobra bezwzględnego*. Oto naczelna dyrektywa wychowawcza wszystkich pedagogij świata, a więc i polskiej. Oto zasadniczy wektor postępu ludzkości i wychowania!

W ramach tego naczelnego celu wychowania zmieszczą się wszystkie jego cele poszczególne. „Podstawy ideowe...“, siląc się na „postępowość“ i „ultranowoczesność“, cel obywatelsko - społeczny wywindowały na czoło wychowania, wpędzając całe szkolnictwo polskie na drogi jałowej realizacji chimery „wychowania państwowego“. Duch laicki podszepnął twórcy „Podstaw ideowych..“ to perfidne pomieszanie hierarchii celów wychowawczych, wytrącając całe wychowanie polskie z pozycji równowagi. Będziemy wiecznie silili się na zdynamizowanie naszego systemu wychowawczego, ale nigdy go twórczo nie zdynamizujemy, jeśli z „Podstaw ideowych...“ nie wytniemy tego zasadniczego wrzodu, źródła wszystkich błędów pedagogii, jakim jest postawienie jednego z celów podrzędnych w miejsce celu nadrzędnego wychowania.

Przy realizacji takiego celu wychowania, jak go formułują „Podstawy ideowe...“, niezmiernie łatwo o infiltrację idej marksistowskich i mniejsze lub większe kokietowanie tych idej na terenie szkoły. Wychowanie „społeczno - obywatelskie“ jako cel ogólny wychowania nie wyklucza przyjęcia marksizmu i materializmu dziejowego, jako jednej z sił dynamicznych i „postępowych“ w kształtowaniu typu jednostki ludzkiej, gdyż nie zajmuje w stosunku do marksizmu żadnego stanowiska. Sprawa przedstawia się zgoła inaczej, gdy na czoło wychowania wysuniemy realizację idej chrystianizmu, realizację planu Bożego. Tu marksizm musi odpaść *a limine*. Musimy go bez pardonu wykluczyć z naszego systemu wychowania.

W świetle tych rozważań odrazu widzimy, ile niepowetowanej szkody w naszym szkolnictwie zrobiły „Podstawy ideowe...“ naszego wychowania. Jesteśmy świadkami załamania się szkolnictwa polskiego, jesteśmy świadkami kompromitacji ideowej kierowników największej naszej organizacji nauczycielskiej — ZNP. I chwała Bogu, że do tego przyszło. Czas bowiem otrząsnąć się ze złudzeń w dziedzinie szkolnictwa, czas nareszcie dać należytą odprawę wszystkim mącicielom źródeł narodowej mocy.

## Wychowanie a posłannictwo Narodu

Odsłonięcie *zenitu wychowania*, kopuły sklepiącej się nad całym wychowaniem polskim, prowadzi nas do przyjęcia tezy drugiej polskiego wychowania: *Wychowanie musi przygotować cały naród do zrozumienia i skrystalizowania jego misji dziejowej*. Szczepanowski tę tezę formułuje tak: *„Pedagogia narodowa jest to przystosowanie całego narodu do misji, którą mu Opatrzność powierzyła dla dobra ludzkości“*. Norwid ujmuje to tak: „Ojczyzna jest to wielki, zbiorowy obowiązek...“.

Oczywiste się staje, że przyjąwszy tezę drugą wychowania, musimy do gruntu przeorać szkolnictwo polskie. Przez cel pierwszy wychowanek czuje się związany z całą ludzkością i odpowiedzialny za realizację planu Bożego w skali uniwersalnej, przez cel drugi wychowanek czuje się związany szczególnie ze swoim narodem i odpowiedzialny za jego posłannictwo. Wielki, zbiorowy obowiązek Ojczyzny narzuca problemy o skali daleko większej, niż wychowanie „obywatelsko - społeczne“, gdyż jest to obowiązek odgadnięcia misji dziejowej swego narodu i misji dziejowej innych narodów, obowiązek stożsamienia celu *heteronomicznego* narodu, narzuconego mu przez Opatrzność, z jego celem *autonomicznym*, wykrystalizowanym przez jego wolność twórczą.

Posłannictwo wciąga całe wychowanie w krąg wielkich problemów ideologicznych, budujących potęgę materialną i duchową narodu, oraz jego strukturę prawno - polityczną. *Heroizm, prometeizm i ekspansywność, to elementy dynamiczne idei posłannictwa narodu.*

Przyjmując ideę misji dziejowej narodu, musimy w wychowaniu stosować *psychologię bohaterską*, domagając się od wychowanka dzielności moralnej i duchowej, nie na miarę zwykłego „obywatela“, ale na miarę herosa.

Formułując filozoficznie punkt drugi, powiemy: *drugim fundamentem wychowania polskiego musi być mesjanizm*. Pedagogika polska musi spenetrować wszystkie rozległe gałęzie mesjanizmu polskiego. Odrzucić co dla życia niezdatne (dotyczyć to będzie szczególnie pseudomesjanizmu Mickiewicza i Towiańskiego) i zaafirmować to, co dla rozwoju narodu i państwa konieczne: *przyjęcie bezapelacyjne polskiej teorii rzeczywistości* = teorii walki dwu typów świadomości ludzkiej, zachowawczej i postępowej — jako motoru postępu dziejowego. Tym sposobem mesjanizm polski wspomoże walnie chrystianizm, zadając cios ostateczny bolszewizmowi we wszelkiej jego postaci. Wychowanie da impuls do wielkich reform społecznych w myśl polskiej teorii rzeczywistości, z gruntu odmiennej od teorii walki klas, czy walki ras.

Dwie naczelne tezy wychowania polskiego wywołują tezę trzecią: *Wychowanie musi kształtować osobowość*. Szczepanowski tak to formułuje: „*W oświacie, jak we wszystkich rzeczach duchowych, nie może być innego celu, jak doskonałość*“. Według Wrońskiego jest to nieskończone kształtowanie *mocowładności rozumu*, który „stanowi przyrodę *własną a odrębną* człowieka“. Jądrem osobowości jest świadomość-jaźń. Kształcenie świadomości aż do rozwoju świadomości najwyższej, potencjalnej: *geniuszu*, to cel wychowania w zakresie celu jednostkowego, związanego nieodłącznie z celem wychowania, pierwszym — *uniwersalnym* i celem drugim — *narodowym*.

## Chrystianizm, mesjanizm, personalizm

*Chrystianizm, mesjanizm, personalizm* — oto trzy piętra wychowania polskiego. Taka, według idej, które tu w „Zecie“ od szeregu lat są głoszone, po-

winna być hierarchia problemów wychowania polskiego: Trzy piętra idej wychowawczych — *Bóg, naród, jednostka* — Absolut, powszechność, indywiduum. Trzy ogniwa w łańcuchu wychowania. Utrącenie jednego spowoduje zwichnięcie całego systemu.

*Chrystianizm* (dodajmy: *spełniony*), *mesjanizm i personalizm* oto dynamizmy ideowe, które kształtować winny wychowanie polskie. Możemy to nazwać *polonizmem* w naszym wychowaniu; rzeczą obojętną jest nazwa, chodzi o sprawę zasadniczą.

Chrystianizm wyposaży wychowanie polskie w aktywne elementy wiary w zwycięstwo dobra nad złem: w prometeizm ducha, górującego nad materią; mesjanizm — w elementy posłannicze narodu: w prometeizm pracy narodowej na każdym polu[1]); personalizm wyposaży wychowanie w elementy kształtujące osobowość; w prometeizm świadomości potencjalnej geniuszu.

Całość zaś idej tego trzypiętrowego gmachu wychowania polskiego formować będzie charakter wychowanka, bowiem przez ten trzypiętrowy gmach idej błyskawicą światła przebiega jeden i ten sam promień, sprawiający rozrost duchowy człowieka; daje się to ująć w takiej formule: *„Człowiek dopiero staje się człowiekiem, jeśli żyje w służbie idei“* (Szczepanowski).

## Budujmy nie na piasku, lecz na granicie

Wobec tych trzech naczelnych tez wychowania polskiego, wobec polskiej teorii wychowania, wobec polonizmu w wychowaniu naszym, minimalizmem i bałamuctwem rażą tezy „Podstaw ideowych...“ dotychczasowego naszego szkolnictwa. Czytamy tam:

> „Podłożem całej pracy szkoły winna być wiara w potęgę czynnika moralnego, mocą którego jednostka sama może się przetwarzać i wydobywać z siebie utajone i nieznane siły. Szkoła winna rozwijać te siły i pielęgnować nieprzemijające wartości etyczne, kierujące nimi i górujące nad zmiennym biegem życia, grą interesów i namiętności...“.

Z dokumentów i publikacyj wiadomego bractwa spod znaku geometrycznego znamy ten górnolotny żargon, poza którym jest pustka i miałkość ideowa. Bo zważmy, jak słusznie zauważył St. Piasecki w artykule „Metoda w szaleństwie“ („Prosto z mostu“ nr 42, r. II): wychowanie takie jest pozbawione całkowicie *„wszelkich aspektów metafizycznych“*. Wychowanie takie, to zręcznie — słowami frazesów — osłonięta realizacja „paradis terrestre“.

Jakto, wychowanek ma się oprzeć na samym sobie? Na swych jakichś irracjonalnych siłach moralnych? Gdzie źródło tych sił? Nie sformułowano tego źródła ani filozoficznie, ani religijnie. Czy nie prościej wskazać wyraźnie te siły moralne jako zbawcze idee chrystianizmu, niż pozwolić na stosowanie w wychowaniu niczym nieusprawiedliwionej płynności założeń i haseł wychowawczych? Cóż bowiem jest „czynnikiem moralnym“ w świecie względnym? Także „względność“. Czy można na piasku dom budować, lub na błocie? No, owszem można, ale taki dom niedługo postoi. Zjawisko zachwiania się całego naszego systemu wychowania obserwujemy dzisiaj w Polsce. Odczuwamy dziś boleśnie, że szkolnictwo polskie buduje się na płynnych fundamentach i że oto cała robota wychowawcza rozpada nam się w rękach.

*Warunkiem odrodzenia naszego wychowania jest zwrot do polskości, jest konieczność zastosowania pierwiastków polonizmu w naszym wychowaniu.*

Nikt już dziś nie może zanegować faktu, że przez cały naród idzie jakiś potężny wstrząs odrodzenia. Naród budzi się z gnuśności i uśpienia i walczy z tymi, co mu „dusze kradną“.

Gdy zostaną rozbite wszystkie diabelskie siły kradnące dusze narodu i gdy wszyscy „mówcy“, tumaniacy naród złudą obcych doktryn i idej, padną, wtedy naród „obaczy się wolny“, wtedy przyjdzie czas na potężny zryw całego narodu w kierunku realizacji wszystkich jego potężnych idej prometejskich, rzucanych jak płonące głownie w mroki dziejów przez ducha polskiego. Oby ten czas rychło przyszedł!

*Antoni Madej*

[1]) Tu jest miejsce na szerokie zastosowanie polskiej teorii pracy i sztuki (Norwid, Brzozowski), tu jest miejsce na kształtowanie wyobraźni narodowej, tu wreszcie jest miejsce na zrozumienie polskiej „racji stanu“. Przecież musimy tu, na tym miejscu, gdzie wyrokiem Opatrzności stanęliśmy jako Polska, coś robić, coś działać. Czyż to nie jest nasza misja dziejowa to c o ś - r o b i e n i e, c o ś - d z i a ł a n i e? Chodzi o to, by było to coś-robienie, to coś-działanie celowe, pozytywne, by miało ono elementy konformistyczne, budujące potęgę narodu i państwa, potęgę moralną i materialną.

## Do czytelników i przyjaciół ideowych

Ogłaszamy subskrypcję na pierwszy numer rocznika filozoficzno-matematycznego p. t „Wrońskiana“. Numer ten zawierać będzie m. in. listy Hoene-Wrońskiego do Crozalsa — pisane w odpowiedzi na zapytania, dotyczące zagadki istoty wnętrznej absolutu, prace Francis Warraina, Paulina Chomicza, Czesława Jastrzębca-Kozłowskiego, Pawła Demiańczuka, Jarosława J. Stępniewskiego i Jerzego Brauna, oraz omówienia dzieł i bogatą kronikę „wrońskianów“ z całego świata.

Numer rocznika kosztować będzie w normalnej sprzedaży 8 zł., natomiast w przedpłacie subskrypcyjnej tylko 4 zł. Jeszcze korzystniejsze warunki ustalono dla prenumeratorów „Zetu“, którzy płacić będą w subskrypcji zaledwie 3 zł.

Odnośne kwoty wpłacać należy na konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153,210, z adnotacją na blankiecie: Na rocznik „Wrońskiana“.

Termin przedpłaty upływa w dn. 20 grudnia b. r.

# Hierarchia zjawisk psychologicznych

Znakomity psychiatra francuski Pierre Janet, w dziele swym pt. „Les obsessions et la psychasthénie“, t. I, daje (str. 484 — 498) pogląd niezmiernie ciekawy, a od utartego odbiegający, na hierarchię zjawisk psychologicznych. Mnie ta rzecz szczególniej zainteresowała dlatego, że, będąc ujęta w sposób ściśle empiryczny, tzn. całkowicie oparty na obserwacji faktów — zupełnie się zgadza z wywodami czysto apriorycznymi, którymi sam się zajmowałem w dłuższej pracy o filozofii psychologii. Pozwolę więc sobie najpierw streścić pokrótce wnioski d-ra Janeta, następnie zaś postaram się dać ich uzasadnienie a priori.

I.

W patologicznym syndromie, zwanym psychastenią czyli bezsiłą lub niedowładem psychicznym, chory stopniowo zatraca władze umysłowe — przy czym, rzecz oczywista, pierwsze padają ofiarą czynności intelektualne najtrudniejsze, najbardziej złożone, a względnie długo utrzymują się najprostsze, najłatwiejsze. Otóż pogląd potoczny skłonny jest do tych najtrudniejszych zaliczyć rozumowanie logiczne, np. syllogistyczny układ myśli, do najłatwiejszych zaś — proste poczucie otaczającej rzeczywistości. Tymczasem z obserwacji psychasteników wypada coś wręcz przeciwnego: właśnie to doznanie, ta *pewność* konkretnej rzeczywistości zanika najrychlej.

Akt woli, powiada Janet, zarówno jak i wzruszenie, czy uczucie — to nie są bynajmniej zjawiska psychologiczne elementarne, choć się je zwykle za takie poczytuje. Najtrudniejsza będzie zawsze każda czynność syntetyzująca; najłatwiejsza — wszelka czynność automatyczna, odruchowa. Gdy rozważamy przeciętną umysłowość ludzką, u szczytu wypadnie umieścić „funkcję rzeczywistego“ (la fonction du réel), polegającą na „uwadze na życie obecne“. Jest ona tym trudniejsza, im bardziej chodzi o celowe przekształcania rzeczywistości zewnętrznej — bądź to materialnej, bądź, w znacznie jeszcze wyższym stopniu, społecznej, politycznej itp. Z punktu widzenia swej formy, czynność jest o tyle trudniejsza, o ile jest nowa, samorzutnej wymagająca decyzji. Rzecz ciekawa, że nawet zaśnięcie wymaga celowego postanowienia, które dla tych upośledzonych jest już nad siły; stąd ich nerwowa bezsenność.

„W tejże funkcji rzeczywistego, — pisze dr. Janet, — lecz może na szczeblu troszeczkę niższym niż czynność woli, mieści się uwaga, pozwalająca nam postrzegać rzeczy realne. Jej stopień najwyższy, z punktu widzenia naszych chorych, a zatem i najkruchszy, to działanie umysłowe, które nam daje pojęcie rzeczywistości, tzn. determinuje pewność i wiarę. Uchwycić jakąś percepcję czy ideę z poczuciem, że to istotnie rzeczywistość, czyli uporządkować w okół tej percepcji wszystkie nasze tendencje i działalności; oto doskonałe dzieło uwagi... Zapewne, można myśleć a jednak nie wierzyć, boć widujemy mnóstwo pacjentów, którzy postrzegają bardzo dobrze, rozumują znakomicie, a nie mogą zdobyć się na uwierzenie. Trzeba dobrze zdać sobie sprawę z tego, że wiara stanowi szczebel czynności mózgowej (sic) wyższy od prostego rozumienia. W ustalanej tu hierarchii, wierzenie jest częścią funkcji rzeczywistego i zajmuje wysokie stanowisko obok działań woli... Gayte w taki sposób opisuje sceptyka: „Nie przywiązuje się do żadnej teorii, gdyż nie umie chcieć. Deliberuje ciągle, bo jest niezdolny zatrzymać swej myśli aktem woli; nie panuje nad swą myślą, owszem daje się jej opanować“.

Pamięć zanika u psychasteników tylko w tym znaczeniu, że nie mogą oni *celowo* utrwalić obrazu teraźniejszości w widokach późniejszego jego zużytkowania; nie mogą w chwili, gdy to naprawdę pożądane, przywołać potrzebnych i dokładnie uszeregowanych faktów minionych. Natomiast właśnież cechę charakterystyczną tych chorych stanowi pamięć — i to najbardziej drobiazgowa — w sensie nużącego, bezwolnego, automatycznego wałkowania wciąż tych samych przeżyć, podobnie jak w gorączce nieraz aż do rozpaczy kręci się nam siedemset razy wkółko ta sama piosenka. Oni to chętnie biorą za wyostrzony zmysł analityczny, gdy tymczasem jest to natrętna, sensu i celu pozbawiona biegunka myślowa.

Trudna jest dla tych chorych wszelka czynność syntetyzująca; pierwszorzędną czynność syntetyzującą stanowi konkretne doznanie własnej bezwzględnej jedności podmiotu; toteż rozkojarzenie osobowości jest zjawiskiem u psychasteników bardzo częstym.

„Do tych działań uwagi i woli trzeba dołączyć pewne zjawiska związane ze wzruszeniem. To ostatnie jest na ogół czynnością umysłową nader łatwą..., ale staje się ono trudniejsze, gdy chodzi o wzruszenie ścisłe, należycie przystosowane do danej rzeczywistości, a już zwłaszcza jeśli idzie o wzruszenie szczęśliwe. Umieć w pełni się cieszyć teraźniejszością, tym, co w niej piękne i dobre, to czynność umysłowa, która zdaje się być wcale trudną i godną zestawienia w tym względzie z działaniem celowym i z uwagą na rzeczywistość; bardzo często zanika ona w obojętności i nudzie, prawie zawsze cechującej tych chorych“.

Szczególną uwagę czytelnika chciałbym zwrócić, dla powodów, które wyłuszczę później, na poniższy ustęp:

„Ostatnim terminem tej funkcji rzeczywistego, streszczającym prawdopodobnie wszystkie poprzednie, byłaby czynność umysłowa, niestety bardzo mało znana: stanowienie czasu, *kształtowanie chwili teraźniejszej w umyśle*. Czas nie jest nam dany jako coś gotowego; by to wykazać, dość było by przyjrzeć się złudzeniom dzieci i chorych co do czasu. Chwila obecna matematyków, ten punkt niedostępny, nie ma nic wspólnego z pojęciami, o których tu mowa. A nawet teraźniejszość, badana przez psychometrię, owo tętno, trwające $^1/_{10}$ sekundy, również nie jest tym, co oceniamy jako teraźniejsze. Realna dla nas teraźniejszość — to akt, stan w pewnej mierze złożony, a który ujmujemy jednym jedynym stanem świadomości, mimo tę złożoność i mimo rzeczywiste jego trwanie, które może być dłuższe lub krótsze. Dla osób roztargnionych, obojętnych na rzeczywistość, teraźniejszość

ta przedłuża się i pozostaje bezokreślna; dla umysłów czynnych, będących zawsze na baczności, kurczy się ona i uściśla. Istnieje władza umysłowa, którą można by nazwać, że ukujemy taki wyraz, *uteraźniejszaniem (présentification)*, a która polega na nadaniu znamion teraźniejszości pewnemu stanowi umysłu i zespołowi zjawisk".

O stopień niżej stoją wszystkie te same czynności, dokonywane na pozór identycznie, ale w nieuwadze, roztargnieniu, jakby zobcjętnieniu na rzeczywistość. Więc na przykład chory poznaje i doskonale rozróżnia znajome osoby, lecz czyni to — że tak powiemy — bezinteresownie, zatraciły bowiem dla niego cechę konkretnej, żywej i ważnej realności. „Wiem, że to Jan a nie Ludwik; ale bym nie przysięgła, czy Jan w ogóle istnieje obiektywnie".

— Dalsze rozważania d-ra Janeta są już dla nas mniej ważne. Aby mieć przed oczyma przejrzysty schemat, możemy, na podstawie jego wywodów, ustalić następującą hierarchię czynności umysłowych, idąc od najbardziej złożonych a przeto najtrudniejszych do najłatwiejszych bo najprostszych:

1. Rozumne działanie na rzeczywistość.
2. Celowa ocena rzeczywistości.
3. Doznawanie rzeczywistości jako czegoś pewnego, w co się wierzy.
4. Wzruszenie.
5. Pamięć czysto wyobrażeniowa (reprezentatywna) czyli odtwórcza.
6. Wyobraźnia.
7. Rozumowanie.
8. Rojenie czyli pół-automatyczna gra wyobrażeniami.

II.

A teraz postaram się możliwie najzwięźlej przedstawić czytelnikowi bardzo podobną hierarchię władz psychologicznych, wywiedzioną a priori czyli z samych zasad rozumu.

Więc przede wszystkim za najbardziej elementarną, podstawową władzę uznamy zdolność wiedzenia czegoś w ogóle — to, co się po niemiecku nazywa Kenntniss, a co dla krótkości można by po polsku nazwać *wiednością*.

Chcąc sobie zdać sprawę z rzeczywistości, człowiek ustala nasamprzód jeden wielki, najpierwotniejszy podział: na to, co jest mną samym, i na resztę świata, czyli na ja i nie-ja. Trochę ściślej analizując, dochodzi do wniosku, że i własne ciało, własne istnienie fizyczne, można pod pewnym względem zaliczyć do owego nie-ja: moją prawdziwą jaźń stanowi — mówiąc teologicznie: dusza, mówiąc psychologicznie: myśl, mówiąc filozoficznie: wiedza. Toteż i wspomniana wiedność rozszczepi się przede wszystkim na wiedność jaźni, samegoż *podmiotu* wiedzy, czyli *świadomość*, i na wiedność niejaźni, *przedmiotów* wiedzy, czyli *wyobrażenie* albo *przedstawienie* (représentation, Vorstellung). Ilekroć świadomość pozostanie we własnej dziedzinie ,tj. w dziedzinie czystej wiedzy, — wynikiem będą różne władze psychologiczne niezłożone, elementarne. Ilekroć zapuści się ona w dziedzinę przedmiotów względem niej zewnętrznych, tj. gdy się skojarzy z wyobrażeniem, — powstaną w rezultacie różne władze złożone, syntetyczne.

I to nam odrazu potwierdza słuszność pierwszego rozróżnienia dr. Janeta. Rzecz jasna, że dopóki moja wiedza jest nienaruszona (a narusza ją dopiero obłęd, idiotyzm itp., ale nie sama psychastenia), łatwiej jej operować własnymi danymi, aniżeli zaczerpniętymi z zewnątrz. Mój rozum, moja wiedza, jest tym, co dla mnie w świecie najpewniejsze, najbezpośredniej dane. Dowód na bezwzględną pewność istnienia mojej wiedzy jest mi i niepotrzebny i niemożliwy, gdyż wszelki dowód, który by się opierał na czym innym niż na mojej wiedzy, byłby dla mnie mniej pewny niż ona sama. Stąd pewność apodyktyczna, czyli konieczność, prawd wysnutych z samego rozumu, w przeciwstawieniu do pewności czysto asertorycznej, czyli do przygodności prawd wysnutych z doświadczenia. To, że śnieg jest biały, ostatecznie mogło mi się przywidzieć, ale to, że coś nie może *być* a zarazem i w tym samym znaczeniu *nie być*, jest mi pewnikiem niezbitym.

Słusznie wiec za najniższe zjawisko psychologiczne uważa dr. Janet rojenie. Tu nasza wiedność luźno i bezwolnie przesuwa różne obrazy, lub raczej pozwala im odbijać się w sobie jak w lusterku, nie usiłując związać ich w żadną jednię, ani nawet skojarzyć z jasną świadomością własna rojącego podmiotu. Istotnie jest to funkcja psychiczna możliwie najbardziej bierna i bezwładna, a przeto najłatwiejsza. W swej postaci idealnie czystej, byłaby to poprostu mnogość rozstrzelonych wyobrażeń bez *żadnej* jedności. Inna sprawa, że w konkretnej psychice ludzkiej jest to niemożliwe, już choćby dlatego, że te luźne wyobrażenia są przecież *moimi* wyobrażeniami, odbijają się *w mojej* wiedności, wiec są jednak powiązane jednością mego podmiotu. I właśnie ta kombinacja luźnych wyobrażeń z ogniskującą je indywidualną wiednością (podkreślam: z wiednością w ogóle, nie zaś z wiednością jaźni czyli świadomością) stanowi nową władzę psychologiczną, mianowicie *czuciowość* czy *zmysłowość* (sensibilité), dzięki której moja wiedność wchodzi w kontakt z przedmiotami zewnętrznymi. Mowa tu o *zmysłach* w znaczeniu wyłącznie psychologicznym: zostawiam tedy na uboczu kwestię powstania i działania fizycznych *narządów* zmysłowych.

Zatem wyprowadziliśmy już cztery władze elementarne, tj. takie, w których świadomość nie kojarzy się bezpośrednio z wyobrażeniem; są to mianowicie: a) Wiedność w ogóle; następnie — z jednej strony, że tak powiem obiektywnej, nastawionej na *przedmioty* wiedzy, — b) Wyobrażenie i c) Czuciowość; z drugiej zaś — subiektywnej, nastawionej na *podmiot* wiedzy — d) Świadomość.

Ale świadomość czyli wiedność jaźni, pozostając we własnej dziedzinie, tzn. zasadniczo nie stykając się jeszcze z przedmiotami zewnętrznymi, niekoniecznie musi ograniczać się do własnego jednostkowego podmiotu; może się ona owszem rozszerzyć na wszelką wiedzę w ogóle, zająć się *pojęciami* jako takimi. Wówczas przeistacza się w nową elementarną władzę psychologiczną, którą nazwiemy ogólnie *umysłem* czy *intellektem*, a która w swej postaci funkcjonalnej występuje u dr. Janeta jako *rozumowanie*. Umysł, dokąd nie jest zupełnie zniszczony, w sposób naturalny trzyma się praw logicznych, będących własnym jego rdzennym wytworem. „Logikę tedy, — powiada Schopenhauer w swej *Erystyce*, — naukę myślenia, tj. działalności czystego rozumu, można by zbudować zupełnie *a priori*"; a dalej dodaje nader ciekawe spostrzeżenie: „Ludzie rzadko myślą i wyprowadzają

wnioski przeciwne prawom logicznym; fałszywe *sądy* bardzo są częste, fałszywe *wnioski* są nadzwyczajnie rzadkie. Dlatego tak rzadko objawia się w człowieku brak naturalnej logiki... Zdrowy rozum, właściwie mówiąc, podzielony jest dość równomiernie".

Entendons - nous: rozumowanie jest przepysznym atrybutem ludzkiego umysłu, ale właśnie *każdego* mniej więcej normalnego umysłu. Dzikus ani głupiec ani pięcioletnie dziecko nie powie serio: „Jem chleb bez masła, więc wczoraj padał deszcz". Co innego, że przedmiot rozumowań będzie u głupca ubożuchny, u mędrca zaś może obejmować bezkresne perspektywy; lecz zasadniczo funkcja rozumowania, gdzie umysł pozostaje całkowicie „u siebie w domu", jest łatwa.

Wiedność, przybierając postać umysłu czyli intellektu, najbardziej się zatapia w samej wiedzy; przybierając natomiast postać czuciowości czyli zmysłowości, najbardziej się wynurza poza wiedzę, w świat przedmiotów zewnętrznych. Toteż umysł i czuciowość stanowią dwie krańcowe nasze władze psychologiczne. — Oczywiście muszą między nimi istnieć jakieś połączenia, jakieś przejścia wzajemne: inaczej psychika nasza byłaby rozbita na szczelnie odgrodzone części. Tym łącznikiem jest *wyobraźnia*, którym to mianem obejmujemy dwie pokrewne, ale odrębne władze elementarne: wyobraźnię odtwórczą i wyobraźnię wytwórczą. Umysł to władza subiektywna; (przy czym nie należy tego terminu mieszać z terminem *osobisty*, jak np. w wadliwym powiedzeniu: „Jest to moje subiektywne zdanie". Tutaj „subiektywny" oznacza, że wiedza bada samą siebie, a nie obiektywne w stosunku do niej byty zewnętrzne). Rzecz prosta, że w rzeczywistości konkretnej, jaką jest psychologia istoty psychofizycznej, postawa taka utrzymać się nie da. Umysł musi dążyć do zetknięcia się z zewnętrznym światem bytów, czyli upodobnić się do czuciowości, będącej właśnież władzą, która nam ten kontakt umożliwia. Ta jego nowa funkcja, poniekąd upodobniająca go do czuciowości, przeistacza go w *wyobraźnię wytwórczą* (fantazja, konstrukcja, schematyzacja); tutaj umysł nie styka się jeszcze *faktycznie* ze światem zewnętrznym, tylko usiłuje *własnymi* zasobami jakoś zastąpić braknące przedmioty — wyobrażenia.

Ale i czuciowość nie może się ostać w swej postawie czystej obiektywności; musi ona dążyć do tego, by dorywcze wyobrażenia zmysłowe włączyć w zasób mych pojęć ogólnych. A że pojęcia są dziedziną umysłu, więc to ją poniekąd do niego upodabnia. Powstająca stąd nowa władza — to *wyobraźnia odtwórcza* (pamięć, przewidywanie...). Jakoż istotnie: gdy sobie przypominam stół, jest to wprawdzie wyobrażenie zmysłowe, więc dzieło czuciowości; ale w tej chwili otrzymuję je nie bezpośrednio drogą zmysłów, tylko je wydobywam — niby pojęcie, a zatem dzieło umysłu — z zasobów własnej wiedzy.

Zwracam uwagę, że i te dwie władze dobrze przystają do tabelki dr. Janeta. Osłabionej, ale nie zdruzgotanej do cna psychice łatwiej będzie ułożyć prawidłowy schemat pojęciowy — jak np., że skutek następuje po przyczynie, a nie przed nią — niż dokładnie i celowo odtworzyć, w rzeczywistej jego kolejności, potrzebny kompleks wyobrażeń.

By sobie lepiej uprzytomnić rozpatrzone władze, można je uszeregować w taką tabliczkę:

*Elementarne władze psychologiczne.*

A. Subiekt — obiektywna:
   *Wiedność.*

B. Obiektywne:
   Wiedność niejaźni czyli *wyobrażenie.*
   *Czuciowość* czyli *zmysłowość.*
   *Wyobraźnia odtwórcza.*

C. Subiektywne:
   Wiedność jaźni czyli *świadomość.*
   *Umysł* czyli *intellekt.*
   *Wyobraźnia wytwórcza.*

(D. n.) *Czesław Jastrzębiec-Kozłowski*

---

*Marian Niżyński*

*Z tomu „Więcierz wieczorny"*

# *Przeczucie żółte*

*Mimozo przeczulona!*
*Cytryny kanarcza grotesko!*
*Wy wyproszone w upalnych flakonach*
*podzwrotnikowe arabeski!*

*Gdzież to? Przez jasność tej pogodnej drogi*
*którędy niby stupiętrowa woda*
*zdumieniem oczy mi zalewa ogień?*
*A bodajże was! A bodaj!*

*I wam się mieszać w sprawy*
*szafranu, łubinu, żarnowca*
*importowane z bananem*
*parszywe żółte owce?*

— — — — — — — — — —

*Gdzieś to się na głębinie*
*poczyna w wodorostach*
*co po miodowym bursztynie*
*na piasek się żółty chce dostać.*

*I póty barwieje w półcieniu*
*kulkami kacząt i kurcząt*
*aż się w gnojówki zieleni*
*do żółta nie wypłócze.*

*To jest to żółte moje*
*co z kukurydzy i renglod*
*motylim i osim rojem*
*pod stragan południa wylęga.*

*Co pnie się bluszczem jesiennym*
*po murze zapachu wysoko*
*aż się odkształci i zbezimienni*
*w koloru przeczysty alkohol.*

*I rządzi mną tak dostojnie*
*żółtości drgające przeczucie*
*że go oczyma nie pojmę*
*nie mogę przed nim uciec.*

*Wysnuta z wszelakiej rzeczy*
*ze słowa wyłuskana*
*z granatu mię nocy leczy*
*flavia fata-morgana.*

*I schodzi dzwonami wierzeń*
*w drgających atomów obłoku*
*jak kula złocista w eterze*
*w pośrodku wisząca wzroku.*

— — — — — — — — — —

*Z pod jednej cię tylko kory*
*nie sposób wysączyć, wytrawić*
*o żółci zjadliwa i chora*
*w żyłach mych zacnych przyjaciół.*

# Polska mocarstwowa i Polska posłannicza

## (Zagadka dziejowa Polski. II)

Zanim przejdę do omówienia determinant przeznaczenia dziejowego Polski, zmuszony jestem do paru wyjaśnień: a) przede wszystkim przedstawiam tu wyniki długich przemyśleń, których sprecyzowanie i uzasadnienie wymagałoby całego tomu; z konieczności więc muszę podawać je w syntetycznych skrótach, bez uzasadnień i obszerniejszych komentarzy; b) powtóre, sformułowanie pojęciowe jest zawsze schematyczne, zaś rzeczywistość jest dynamiczna i płynna, toteż proszę, by nie zarzucano mi sztucznego upraszczania zjawisk tam, gdzie dla znakowania całych rozległych procesów i kompleksów historycznych, zmuszony jestem posługiwać się pojęciami o charakterze skrótów symbolicznych. Jeżeli nazywam np. *Polską królewską* epokę dynastyczną Piastów i Jagiellonów, nie znaczy to, bym chciał przez to powiedzieć, że w okresie późniejszym nie miała Polska królów, lub by nie mieli oni w niej żadnego znaczenia; i na odwrót, gdy mówię o *Polsce szlacheckiej*, czyli o okresie monarchii elekcyjnej, nie znaczy to, bym nie widział potężnych wpływów żywiołu szlacheckiego już w okresie poprzednim. Idzie mi tylko o to, że tu *przeważał* czynnik państwotwórczy królewskiej polityki i woli mocarstwowej, a tam znów przeważał czynnik wolnościowy a-państwowego anarchizmu szlacheckiego, widzącego cel pozytywny polskości nie w potędze państwa, lecz w stworzeniu społeczeństwa samorzutnego, czyli w bezpaństwowym samorządzie narodowym. Podobnie ma się rzecz i z innymi, użytymi przezemnie schematami pojęciowymi.

*

Warunki przeznaczenia dziejowego Polski, predestynujące ją do odegrania określonej misji historycznej w zbliżającej się fazie rozstrzygającej naszych dziejów, różnicują się na *wewnętrzne i zewnętrzne*. Zacznę oczywiście od omówienia warunków wewnętrznych, te bowiem mają decydujące znaczenie dla wyjaśnienia zagadki naszych dziejów.

A. Na pierwszy plan wysuwają się tutaj elementy plemienne, jako czynnik statyczny, niezmienny, determinujący apriorycznie charakter narodowy polskiego żywiołu etnicznego. Bezwład tych cech, przenoszących się w sposób naturalny z pokolenia na pokolenie i pogłębianych wciąż przez warunki stałe wiekowego bytowania Polski na przesmyku bałtycko-czarnomorskim, określa wyraźnie postawę duchową Polaka wobec rzeczywistości historycznej bezpośrednio mu danej .

1) Pierwszy z tych elementów polskiej psychiki plemiennej ma charakter *obiektywny;* ukształtowała go twarda konieczność biologiczna, zmuszająca plemiona Słowian polańskich do heroicznych wysiłków obronno-organizacyjnych, celem utrzymania się w bycie i zachowania niezależności narodowej w obliczu podwójnego nacisku: germańskiej fali eksterminacyjnej od Zachodu i mongolsko-moskiewskiej fali najezdniczej, idącej wciąż od stepu eurazyjskiego, od Wschodu. Nazwę ten element *państwotwórczym*, ze względu na konieczność budowy zwartego organizmu państwowego, zdolnego do obrony przed górującym organizacyjnie żywiołem germańskim; i nazwę go dodatkowo *mocarstwowym*, ze względu na to, że w warunkach geopolitycznych przesmyku bałtycko-czarnomorskiego, państwo niepodległe może się ostać tylko jako mocarstwo, zdolne do szeroko zakrojonych działań historiotwórczych, pomnażających niejako sztucznie słaby potencjał naturalny nielicznej tej grupy plemiennej. Stąd tendencja stała tego elementu do *obrony* na ustabilizowanym, politycznie sztywnym Zachodzie, zaś do ekspansji na płynnym, nieukształtowanym Wschodzie, skąd rozszerzając się i wciągając w orbitę polityki polskiej żywioły obcoplemienne, można było czerpać siły do oporu na granicy zachodniej.

2) Drugi element plemienny ma znowuż charakter *subiektywny;* źródłem jego było właściwe Słowianom czystej krwi, nieskażonej przez domieszkę mongolską, poczucie wolności, samorządności, ów słowiańsko-polski indywidualizm, anarchizm sobiepanów, instynkt absolutnej niezależności od jakichkolwiek rygorów narzuconych z zewnątrz, przez przymus; stąd charakterystyczny, prastary ustrój wiecowy, zbudowany na zasadzie równości wszystkich, posuniętej aż do zasady jednomyślności, trudnej do osiągnięcia w praktyce, więc prowadzącej do owej osławionej niezgody (przysłowie mówi: „gdzie dwu Polaków, tam dwa zdania"). Nazwę ten element *wolnościowym*, gdyż u jego podstawy leży koncepcja ładu samorzutnego, społeczeństwa doskonałego duchów wolnych, których wspólnota zakłada się nie przez dyscyplinę zewnętrzną, lecz przez wewnętrzny imperatyw sumienia, przez poczucie obowiązku, dobrowolne poświęcenie dla dobra publicznego; i nazwę dodatkowo ten element *posłanniczym*, gdyż społeczeństwo tego typu może powstać dopiero w późnej epoce historii, gdy ludzkość, przez stopniową kulturę gospodarczą, polityczną, moralną i umysłową dojdzie wreszcie do takich wyżyn duchowego rozwoju, że wszelki zewnętrzny rygor prawny stanie się niepotrzebny, bo człowiek będzie nosił prawo w samym sobie. Ponieważ Polska ustanowiła taki idealny ustrój społeczny odrazu, spontanicznie, w okresie, gdy wszędzie indziej panował despotyzm, lub co najwyżej monarchizm feudalny, ponieważ ustanowiła go zanim ludzkość — w dobie rewolucji francuskiej — odkryła ideał praw człowieka i obywatela i zanim nowoczesne mity socjalne zaczęły roić pomysły o przyszłym społeczeństwie bezpaństwowym — więc polska idea wolnościowa była prawdziwie anomalią historyczną, objawieniem jakiegoś Królestwa Bożego na ziemi, a więc specjalnym posłannictwem narodu polskiego. Mogła się też idea ta ostać tylko jako *posłannictwo*, jako owa „zaraza złotej wolności", niesiona sąsiadującym z Polską narodom; w przeciwnym razie, stosowana wyłącznie do użytku wewnętrznego, jako stała podstawa ustroju państwowego Polski, musiała zwyrodnieć w niebezpieczne nadużycia i w

zetknięciu z otaczającą rzeczywistością spowodować fatalne załamanie.

Dwa te elementy: państwotwórczy i wolnościowy, ograniczone do terenu polskiego, musiały się sobie przeciwstawić, gdyż to, co pierwszy zbudował w dziedzinie realnej organizacji państwowej, to psuł natychmiast drugi przez swój idealny anarchizm nadpaństwowy, przeradzający się na płaszczyźnie życia codziennego w rokoszański typ ducha - wiecznego rewolucjonisty. Z drugiej strony znów czynnik państwotwórczy nie chciał zrozumieć specyficznych wartości owego instynktu wolnościowego i zamiast go twórczo zużytkować, tracił energię na beznadziejne z nim boje.

Oto więc mamy organiczne rozdwojenie plemienne narodu polskiego na ludzi o instynkcie państwotwórczym i ludzi o instynkcie wolnościowym, rozdwojenie ustanawiające prawdziwą antynomię społeczną Polski Czynu, idącej do swoich celów mocarstwowych poprzez walkę, siłę, dyscyplinę i przymus, oraz Polski Cudu, wyczuwającej jakimś irracjonalnym instynktem swoje zadania posłannicze, poprzez usposobienie pokojowe, buntowniczą niezależność ducha, dążenie do swobód politycznych.

B. Spróbujmy z kolei nakreślić warunki *historyczne* polskiego przeznaczenia, t. j. obraz rozwoju wewnętrznego tych dwu pierwotnych elementów plemiennych. Będzie to czynnik dynamiczny, zmienny, określający „fatum polskie“ przez rzutowanie subiektywnych cech narodowych na obiektywny plan faktów historycznych.

1) Konieczności biologiczne obrony i ekspansji sprawiły, że w dziejach naszych wziął najpierw górę element pierwszy: ów samozachowawczy *instynkt państwotwórczy*. Reprezentanci jego byli wprawdzie w mniejszości, ale mieli w rękach aparat przymusu i władzy. Oni to wydobyli z otchłani chaotycznych procesów dziejowych żelazny kształt państwowości polskiej, rozbudowany żmudnym wysiłkiem w ogromne imperium polsko-litewsko-ruskie, dosięgające — w kulminacyjnym okresie — powierzchni dwu milionów km².

Długi ten okres, od wyzwolin Mieszka I-go spod wasalstwa marchii brandenburskiej, aż do schyłkowych walk Zygmunta Augusta z żywiołem możnowładczo-szlacheckim i prób wielkomocarstwowych Batorego, nazwę epoką *Polski królewskiej*. W okresie tym element państwotwórczy usiłował urzeczywistnić wewnętrzne i zewnętrzne przeznaczenia dziejowe Polski w dwu charakterystycznych fazach: a) w fazie piastowskiej konsolidacja wewnętrzna państwa narodowego, przez zakładanie trwałej więzi nadrzędnej między odrębnymi żywiołami plemiennymi i dzielnicowymi, dążącymi wciąż do rozsypki: *tworzenie szkieletu siły państwotwórczej*, b) w fazie jagiellońskiej ekspansja tego państwa na zewnątrz, przez politykę unij, przodownictwo w Słowiańszczyźnie, obsadzanie ościennych tronów i podbój kulturalny ludów sąsiednich, szczególnie na Wschodzie: *promieniowanie i ucieleśnianie polskiego ideału politycznego*.

Zwracam uwagę, że motywem decydującym fazy piastowskiej jest obrona granic zachodnich, przechodząca niekiedy do skutecznej kontrofenzywy, jak np. za Bolesława Chrobrego i Krzywoustego, natomiast motywem decydującym fazy jagiellońskiej jest *rozbudowa Rzeczypospolitej w kierunku wschodnim*, zapoczątkowana zresztą już przez ostatniego z Piastów, Kazimierza Wielkiego, w jego kapitalnej polityce kolonizacyjnej na ziemi czerwieńskiej. Znamienne jest, że — po fatalnym testamencie Krzywoustego — żywioł germański, niemiecko-czeski, zdołał okupować niemal całkowicie ziemie zachodnie, wynarodowić Śląsk, zniemczyć miasta i sięgnąć po władzę. Dzieło Łokietka udało się tylko na pół; Zakon Krzyżacki, największa ówczesna potęga finansowa i militarna w Europie, groził ponownym rozbiciem świeżo zrestaurowanego organizmu państwowego. Tymczasem jagiellońska polityka wschodnia: *czerpania ze Wschodu sił do walki z Zachodem*, dała od razu świetne wyniki; dowodem Grunwald i shołdowanie Zakonu.

2.) Gdy już imperium jagiellońskie, sławą okryta Rzeczpospolita narodów, osiągnęła szczyt swej potęgi wchodząc w swój „złoty wiek“ tolerancji, famy europejskiej i kultury, wówczas osłabł — siłą faktu —instynkt państwotwórczy i wydobyła się na wierzch siła druga: ów *instynkt wolnościowy*, który znalazł w tej epoce idealne warunki rozwoju. Pomogło mu do zwycięstwa wygaśnięcie dynastii, a potem kolejne elekcje i bezkrólewia. Nie wolno go potępiać bez zastrzeżeń, jak to czyniła szkoła krakowska naszych historiografów; nie można go też gloryfikować w czambuł, jak to czyni szkoła historyków, wyrosłych z obozu narodowego. Element ten ma olbrzymi walor dziejowy: on to wyłuskał właściwą treść ducha polskiego, olśnił narody ościenne wizją jedynego w swoim rodzaju ustroju społecznego, godnego najwyższych aspiracyj człowieczeństwa, wskazując Polsce drogę jej posłannictwa narodowego; ale też on rozkiełznał demoniczne popędy polskiej duszy, jej butę indywidualistyczną, a czasem i najbrutalniejszy egoizm, on wyplenił z Polski sumienie obywatelskie, lekceważąc najoczywistsze konieczności państwowe i dając wrogom zewnętrznym pretekst do zniszczenia Rzeczypospolitej.

Nowy ten okres naszych dziejów, trwający od elekcji Walezjusza aż do rozbiorów, zwę epoką *Polski szlacheckiej*. W okresie tym element wolnościowy dążył bezwiednie do wytworzenia w narodzie siły rozumnej, warstwy kierowniczej, zdolnej do samorzutnego określenia przyszłych jego losów po linii posłannictwa polskiego charakteru narodowego. Jest oczywiste, że element ten zmierzał do tego, by wyeliminować stopniowo państwowy czynnik przymusu i zastąpić władzę jednostki wolnym, zbiorowym samostanowieniem wszystkich o jednym i jednego o wszystkich. Oto niewątpliwa geneza zasady „liberum veto“, ustanawiającej kanon fundamentalny „złotej wolności“ szlacheckiej. Epoka Polski szlacheckiej dzieli się również na dwie fazy: a) fazę wolnej elekcji *czystej*, w której formował się i wypracowywał ideologicznie ten system absolutnej wolności, dochodząc do rozkwitu i b) fazę wpływów obcych, czyli elekcji *zdegenerowanej*, w której następował — na skutek korupcji i wichrzycielstwa jednostek — powolny rozkład systemu, dochodząc aż do ciemnoty czasów saskich i haniebnej kompromitacji sejmu grodzieńskiego.

Zwracam uwagę, że w fazie pierwszej uwydatnia się strona pozytywna tego ustroju: *dążność do realizacji prawdziwego społeczeństwa samorzutnego;* is-

totnie samorząd funkcjonuje tu — jak na warunki praktyczne takiego ustroju — doskonale, w trosce o dobro publiczne ujawnia się szczery motyw dobrowolnego obywatelstwa i poświęcenia, pospolite ruszenie da się użyć jako instrument obrony narodowej, sejmy obradują, a rzymskie wzory cnót są w tym przedziwnym, łacińsko-polskim społeczeństwie respektowane. Natomiast faza druga demaskuje *tragiczną rozbieżność między ideą a rzeczywistością*. Z chwilą, gdy społeczeństwo wolnościowe zaczyna sobie uświadamiać wyjątkowość i posłanniczość swego ustroju, okazuje się ono niezdolne do jej rozumowego uzasadnienia i apostolskiego rozpowszechnienia; wzniosła idea posłannictwa przeradza się w ów bierny, uczuciowy „mesjanizm" zaściankowy zadufanej w sobie masy szlacheckiej, utrzymującej z gnuśnym uporem, że Polska jest Nowym Jeruzalem narodów, że nie ma nic doskonalszego nad Rzeczpospolitą, że „Polska nie- rządem stoi" i tp.; wówczas to pojawia się — w skali masowej — zanik cnót szlacheckich, prywata i obojętność na sprawy publiczne, nadużycie liberum veto przez płatne zrywanie sejmów, horendalne przekupstwo polityczne, bezczelna ingerencja potęg obcych, które buszują po Polsce bez jakiegokolwiek protestu ze strony jej mieszkańców, wreszcie wichrzycielstwo, rokosze, anarchia, upadek kultury, ciemnota i grzechy główne epoki saskiej — i, w rezultacie, upadek Rzeczypospolitej. Jedną z głównych przyczyn tego rozkładu było niewątpliwie to, że warstwa szlachecka nie umiała rozszerzyć swych ideałów wolnościowych, lecz zasklepiła się w ciasnym egoizmie, uciskając warstwy inne.

Dla zamknięcia tej charakterystyki wypada jeszcze odpowiedzieć na jedno pytanie: dlaczego system ten załamał się, choć był widomym posłannictwem Polski? Otóż pytanie to przenosi nas na teren filozofii historii. Posłannictwo może być tylko tam, gdzie jest świadomość przeznaczeń dziejowych narodu i rozum kierowniczy, podejmujący własnowolnie te przeznaczenia. Aby naród zmienił przeznaczenie na posłannictwo, musi on wprzód stać się, przez głęboki akt samopoznania, *rzeczywistym podmiotem historii*. Polska przedrozbiorowa podmiotem takim nie była, losy jej rozwijały się jakby automatycznie, przedmiotowo. Naród może wytworzyć swoje „ja" historyczne tylko przez akt *refleksji*, a refleksja dokonuje się tylko przez rozróżnienie transcendentalne bytu i wiedzy. Musiało wprzód nastąpić rozdarcie między bytem przedmiotowym Polski w historii, a jej rozumową i narodową samowiedzą. Trzeba było zejść do głębin duszy polskiej, odbyć z nią wielki rachunek sumienia, wydobyć z niej nagie, metafizyczne idee polskiego posłannictwa, polskiego mesjanizmu dziejowego, aby móc się odrodzić jako podmiot świadomy. Tak się też stało: naród polski poczuł się nieśmiertelnym, odkrył swoją *wsobność* transcendentalną dopiero po utracie bytu niepodległego.

Jeżeli tedy świadome posłannictwo nie mogło się w Polsce rozwinąć w dobie przedrozbiorowej, to oczywiste jest, że ustrój wolnościowy, istniejący tylko dla tego celu posłanniczego, nie mógł trwać długo jako struktura sztywna polskiego życia społecznego, że musiał on zdegenerować się i runąć. Było to bowiem nie posłannictwo samorzutnego rozumu, lecz zwykły instynkt posłanniczy, niewyraźnie ukształtowany, jako subiektywna cecha plemienna narodu. Ten instynkt posłanniczy, zarówno jak i jego rozwój w dziejach, stanowił więc narazie tylko jeden z warunków wewnętrznych naszego przeznaczenia i to rdzennie przeciwstawny drugiemu z tych warunków, instynktowi państwotwórczemu. Taka jest bowiem własnie struktura przeznaczenia, że składa się ono z *sił przeciwnych*, które — jak plus i minus — wykluczają się wzajemnie; ich przeciwstawność jest siłą motoryczną *ruchu*, tą dialektyką historyczną, którą niewyraźnie przeczuł, a błędnie zdeterminował Hegel; ale też siła ta jest ślepa i w istocie swej złowroga, bo gdy nie istnieje żadne wiązadło nadrzędne dwu sił przeciwstawnych, musi nastąpić rozkład i katastrofa. W tym rys tragiczny samej idei Przeznaczenia, dostrzezony już przez Greków, w ich idei Fatum metafizycznego, które jest wyższe nad bogów, a nieuchronne i przemożne względem ludzi.

Zresztą przeznaczenie dziejowe Polski, jak i każdego narodu, składa się nie tylko z czynników wewnętrznych, lecz i z zewnętrznych. Polska upadła więc zarówno dla tego, że nie było *idei i siły nadrzędnej*, zdolnej uzgodnić obydwa tamte cele: mocarstwowy i posłanniczy, — jak i dlatego, że w momencie impasu wdarł się czynnik nowy, a mianowicie historia wewnętrznego rozwoju duchowego Polski skrzyżowała się z *historią zewnętrzną Europy* i całej ludzkości. To parcie z zewnątrz było tak silne, że Polska nie wytrzymała go i nie umiejąc nagiąć dziejów Europy do swego własnego ideału posłanniczego — musiała upaść.

Jakież były z kolei te warunki zewnętrzne? Przebiegnę je w skrócie.

I. Otóż pierwszy z nich, to *położenie geopolityczne i geokulturalne Polski* między Niemcami a Rosją, oraz między Zachodem a Wschodem, jako dwu przeciwstawnymi światami duchowymi o odmiennej strukturze. Dwie te siły antynomiczne miażdżą Polskę jak dwa kamienie młyńskie, stawiając przed nią ów wyżej wymieniony dylemat: *albo Polska będzie potęgą o rozpiętości globowej, albo będzie zniszczona.* Ponieważ pierwszy postulat nie mógł być spełniony bez uświadomienia sobie przez Polskę jej posłannictwa dziejowego, więc musiał się dopełnić drugi: korzystając z okresu rozprzężenia i słabości politycznej, państwa germańskie Zachodu i imperium rosyjskie Wschodu dokonały wspólnie podziału Polski.

---

*Antoni Madej*

## Orka

*Wprzęgnięte w pług srebrzysty konie*
*pod zachód idą w łunę krwawą...*
*Już słowo skąpe słowo goni*
*i szumi Sprawą.*

*Moja to sprawa, duszy mojej,*
*mych dumań i mej woli.*
*Zapachem orki serce poję*
*i serce boli.*

*Pod zachód, w łunę krwawą słońca*
*pług płynie ostro i dzwoniąco:*
*Za pługiem — skiby, bruzdy, grudy —*
*roboczy mozół, żmuda, trudy...*

II. Drugi z warunków zewnętrznych tego fatalizmu dziejowego jest bardziej skomplikowany. Jest nim mianowicie *problem powszechny świata współczesnego*, ów olbrzymi kryzys moralno-polityczny, kulminujący w dążności mesjanicznej do *absolutu*, t. zn. do jakiegoś stałego ośrodka równowagi duchowej. Problem ten sprowadza się w płaszczyźnie politycznej do kwestii usunięcia wojen przez system organizacji *pokoju powszechnego*, zaś w płaszczyźnie moralnej do poszukiwań jakiejś *idei nadrzędnej*, zdolnej ugruntować ład moralny w świecie przez wychowanie *nowego typu człowieka*, umożliwiającego założenie wolnej społeczności globowej, samorzutnego współżycia nadpaństwowego.

Proste porównanie składników tego problemu z poprzednimi wywodami, nasunie nam myśl, że polska idea państwotwórcza *dobrowolnych unij i federacyj* przygotowywała już potencjalnie odpowiedź na dzisiejsze pytanie o sposób uniwersalny harmonijnego współżycia między narodami. Podobnie polska idea wolnosciowa *społeczności samorzutnej*, ustanawiającej ład moralny nie przez przymus, lecz przez dobrowolne poświęcenie, wskazywała już drogę ku rozwiązaniu współczesnego problemu nowego człowieka, zdolnego zrealizować w życiu codziennym wzniosłe zasady sprawiedliwości społecznej.

Rozumie się samo przez się, że obie te idee moralno-polityczne Polski przedrozbiorowej nie wystarczały w swej surowej formie, rozumowo nieprzepracowanej, do poddania ludzkości nowych wytycznych prawności międzynarodowej. Były to proste *eksperymenty* dziejowe, ugruntowane na cechach plemiennych narodu polskiego, które, w tej postaci *indywidualnej*, nie nadawały się jeszcze do rozpowszechnienia w świecie cywilizowanym. I jako takie, nie mogły być nawet zrozumiane przez współczesną Europę, która, nie znając ich teorii prawnej, a widząc fatalne skutki praktyczne rozdwojenia wewnętrznego narodowości polskiej, musiała traktować Polskę, zwłaszcza w okresie rozprzężenia, jako eldorado anarchii, rozsadnik niebezpiecznej „zarazy wolności", zasługujący — w imię bezpieczeństwa publicznego— na zniszczenie i podział między sąsiadów.

Z chwilą jednak, gdy Polska, jako fakt indywidualny, została wymazana z karty Europy i gdy ujawniły się skutki braku tego ośrodka równowagi europejskiej w systemie politycznym, narodziła się natychmiast w opinii publicznej świata *Polska jako zasada powszechna*. Mianowicie problem wewnętrzny Polski: *zgodzenie wolności osobistej z przymusem państwowym*, jednostki ze społeczeństwem, tworzący jej organiczną antynomię społeczną i wyrażający się w przewlekłym kryzysie ustrojowym, przerzucił się na całą ludzkość, stając się, od czasu rewolucji francuskiej — powszechnym kryzysem ustrojowym Europy i świata cywilizowanego. Problem „naprawy Rzeczypospolitej" stał się teraz problemem naprawy socjalnej i reorganizacji politycznej we wszystkich krajach. Antynomia społeczna stała się odtąd w Europie zjawiskiem stałym. Przez coraz gwałtowniejsze fazy szła ona aż do wojny światowej, kulminując wreszcie w koncepcji Ligi Narodów, jako organizacji ładu politycznego, oraz w różnorodnych próbach wychowania nowego człowieka i stworzenia elit społeczno-obywatelskich, próbach, obserwowanych dziś w faszystowskich Włoszech, hitlerowskich Niemczech, sowieckiej Rosji itd. Ten olbrzymi ferment dziejowy, który Stanisław Brzozowski nazywa *kryzysem romantycznym kultury*, doprowadził dziś, w braku jakiejś uniwersalnej doktryny, rozwiązującej to zagadnienie, do wykrystalizowania się w naszych oczach dwu przełomowych ruchów socjalnych, faszyzmu i komunizmu, które są fatalnymi emanacjami dwu wielkich odnóg cywilizacyjnych historycznej Europy: zachodniego woluntaryzmu, wyrosłego na podłożu Kościoła rzymskiego i wschodniego spekulatywizmu, mającego swe źródło w Kościele greckim, w doktrynach neoplatoników i patrystyki wschodniej, odbitych w demonicznej psychice Rosji eurazjatyckiej.

Oto stan obecny świata, grożący ruiną, jeśli nie uratuje go jakaś *doktryna uniwersalna, przynosząca ów poszukiwany absolut i cel powszechny* i uzdrawiająca nareszcie chory organizm społeczny ludzkości. Kierunek rozwijających się wypadków wskazuje — jak już powiedziałem na wstępie — że doktryna taka powinna wyjść z Polski.

*Jerzy Braun*

# To, co nas dzieli

Zdaje się, że zbliżamy się do najniebezpieczniejszego zakrętu historii. Jeszcze jeden nierozważny krok na tej krzywiźnie, a wpadniemy w grząskie bagno fikcyj. Wydostanie się zeń będzie prawie że niepodobieństwem, gdyż wyniszczony już został zmysł rzeczywistości i sparaliżowany instynkt samozachowawczy. Któż więc ostrzeże człowieka przed śmiertelnym niebezpieczeństwem? Fikcje bowiem mają to do siebie, że dają opanowanemu przez nie złudzenie prawdziwości i rzeczywistości jego przeżyć. Nie ma zresztą w tym nic dziwnego, gdyż wywodzą się one wprost z człowieczej wyobraźni i są tym samym z nią spowinowacone, łatwo więc dają się przyswajać, tym bardziej, że przy wszystkich realizacjach wyobraźnia odgrywa dużą rolę. Poczęte przez człowieka, wykarmione jego krwią, przeradzają się łatwo w polipy o tysiącznych ssawkach.

Fikcja i absurd zaczynają wdzierać się przemożnie w życie ludzkie i wypełniać je chorobliwymi majakami i wibracją szału. Życie zaś instynktowne, prawdziwe, kotłuje się w mrokach, niczym splątane wężowisko.

Czy może jednak być inaczej? Czy należy się temu dziwić? Jeśli bowiem dotychczas nie zdołaliśmy się dowiedzieć, o co chodzi człowiekowi, narodom i ludzkości, jeżeli nie wydobyliśmy z siebie dotąd uncji sensu usprawiedliwiającego — chociażby w minimalnej części — to co się wokoło nas dzieje, jeżeli, jak w owej Sodomie i Gomorze, nie znaleźliśmy nawet jednej sprawiedliwej racji, dla której by ludzkość nie miała się wyniszczyć, lub zostać wyniszczona, jeżeli w bezmyślności i bezwładzie dajemy się unosić najsprzeczniejszym prądom i impulsom, jeżeli w bezdennej naiwności wznosimy kosztem bez-

przykładnych ofiar najpotworniejszy, jaki znał kiedykolwiek świat, „szlachtuz“, wyposażony w najwyrafinowańsze narzędzia i środki zniszczenia, jeżeli na dobitkę złego, strusim zwyczajem, pchamy łby w piach, aby tylko nie widzieć tego co nam grozi, a coby mogło zmącić nasze błogie samopoczucie i błogą beztroskę, aby jeno nie stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością, nie być zmuszonym powitać męskim salutem zbliżającą się grozę i zrozumieć ostatecznie, iż trzeba wziąć na własne barki to, co pod nieobecność ludzkiej woli i ludzkiego sensu wytworzyły fikcje i ich finał — absurd, jeżeli jeszcze dotąd oczekujemy, w bierności na wpół tylko religijnej, Zbawcy z zaświatów i Ducha Pocieszyciela, mającego nam objawić prawdę życia naszego — to zaprawdę na marne poszły dwa tysiące lat, dane nam by zrozumieć naukę Chrystusa. To zaprawdę nicością są kości naszych przodków, rozsiane gęsto na szlakach historii, to zaprawdę niczym nieusprawiedliwioną jest nasza obecność na kuli ziemskiej i funta kłaków nie są warte nasze wszystkie dotychczasowe zdobycze.

Nie mamy absolutnie z czego być dumni, my jakby na ironię nazwani „solą ziemi“, stworzeni „na obraz i podobieństwo Boże“. Nie mamy jeszcze prawa do godności człowieczej, ani nawet do tytułu homo sapiens, gdyż w obecnej chwili naprawdę nie wiele potrzeba by było zastanowienia się, aby zatrzymać koszmarny pochód absurdu, a tego zastanowienia dziś właśnie zabrakło.

Nie mamy więc czemu się dziwić, że jest tak, a nie inaczej; że prawda nasza w rzeczywistości łachmanami cuchnącymi jest okryta, a nie „królewskimi gronostajami“. Bez min obłudnych i faryzeuszowskich westchnień! Czyżby nikomu nie było wiadome, że fikcje wykańczają już zamulanie umysłów, a czerw apatii dogryza instynkt samozachowawczy?

Co tu dużo gadać! Dwie są tylko w tej materii alternatywy.

Albo zgłupieliśmy ze szczętem, produkując jeno z automatyzmem rozhuśtanym przed wiekami grube powrozy na własne karki i najzjadliwsze trucizny z odżywczych soków ziemi, naprawdę nie wiedząc co czynimy.

Albo zakłamaliśmy się do tego stopnia, że nie jesteśmy w stanie zrozumieć, ani odróżnić, co jest dobre, a co złe — co szlachetnością, a co nikczemnością i podłością — co jest prawdą, a co fałszem — co jest miłością, a co nienawiścią — co jest uczciwością, pracą, sprawiedliwością i moralnością, a co wyuzdaniem, nieróbstwem, anarchizmem i amoralizmem — co jest człowiecze, a co zwierzęce — wreszcie: co prowadzi ku jedynemu celowi człowieka, żywotowi nieśmiertelnemu, a co ku zgubie i nicości.

Czyżbyśmy naprawdę zagubili zdolność rozumienia rzeczy i zjawisk? Czyżbyśmy naprawdę wyzbyli się woli rozumnego działania? Czyżbyśmy naprawdę nie umieli już niczego więcej odczuć, rozróżnić i zrozumieć jak tylko głód, pożądanie, zachłanność i samowolę niczym nie skrępowaną? Czyżbyśmy naprawdę uwierzyli w to, że jedyne kryteria nasze, wskazania i prawdy, pochodzą z wyobraźni? Straszne!

A jednak tak jest. Nieprawda? Ano proszę wziąć szereg deklaracyj ideowych, mów wielkich mężów stanu, przodowników społecznych, elity partyjnej, organizacyjnej, publicystów i tp. — wygłoszonych na jeden temat! Proszę je zestawić. Czyż nie zrodzi się wtedy natychmiast pytanie: o co tym ludziom chodzi? Czego właściwie chcą? Bo oto okaże się, że znaczna większość tych ludzi operuje fikcjami, przemawia jakimś dla nich tylko częstokroć zrozumiałym językiem, w życiu przeważnie czyniąc coś całkiem przeciwnego. Każdy z nich ma swoją gwarę, swoje pojęcia, którymi operuje, swoją metodę, swoje hasła, wyrosłe i ubarwione w jego wyobraźni — innymi słowy każdy posiada coś, jak gdyby prywatny kompleks wyobrażeniowy, pojęciowy, uczuciowy i tp. W tym słowie „prywatny“ mieści się istota owych kompleksów, to znaczy, że są one jak najdoskonalej zindywidualizowane, do tego nieomal stopnia, że mogą nieraz być zrozumiane tylko przez samego ich twórcę.

Tworzy się na świecie nowa wieża Babel. Pomieszały się bowiem języki ludzkie, skotłowały pojęcia i wyobrażenia. Tylko, że zakończeniem obecnego chaosu nie będzie rozproszenie się ludzkości po kosmosie, bowiem nie skonstruowano jeszcze wehikułów międzygwiezdnych, a tylko nieunikniona i potworna w swym natężeniu rzeź totalna, bez pardonu, rzeź bezzasadna, absurdalna.

## Fikcje

Dzisiejsze ludzkie światopoglądy, kryteria, programy i mity, to nic innego jak tylko kilka doświadczeń z dziedziny przyrody, szczypta (przeważnie domorosłej) logiki, trochę formułek zapamiętanych ze szkoły, przelotne intuicje. To wszystko stopione razem przez wyobraźnię, w imię jakiegoś „widzimisię“, bez rzetelnej myśli podstawowej, bez gruntownego przepracowania założeń, bez logicznych powiązań, obiektywnych kryteriów i tp. — ot takie sobie „kicze“ wyobraźniowe, po dyletancku potraktowane, machnięte w chwili natchnienia i koniec.

Dokąd jeszcze te cudactwa tkwią w czerepach ludzkich, to jest pół biedy; lecz kiedy ich twórcy poczują „wolę Bożą“, zechcą je urzeczywistniać, realizować, wtedy zaczyna się tragedia. Fikcje te (niczym bowiem innym nie są) w rzeczywistości nie mają absolutnie żadnych podstaw i możliwości realizacyjnych, poza wyobraźnią danego osobnika.

Tego jednak nikt nie chce zrozumieć. Większości wydaje się, że to, czym chcą współziomków uraczyć, to jest ta właśnie jedyna, oczekiwana prawda. Powierzchowność wyobrażeń, brak rzetelnych kryteriów i żarliwości dociekania czynią ludzi nieodpornymi na podobne zachcenia. Mnóstwo emocji i uczuć, wytwarzających się przy tych porodach, popycha do nieobliczalnych wyskoków i czynów.

Doprawdy kiedy spojrzy się krytycznym okiem na ten zamęt, na tę dziwną pstrokaciznę wyobrażeń, fikcyj i wywołanych przez nie nieprzemyślanych czynów — to skóra cierpnie na grzbiecie z przerażenia i odbiega wszelka wiara w przyszłość.

Do czego bowiem mogą ci ludzie świat doprowadzić! Jakie szaleńcze pomysły strzelić jeszcze mogą do gorejących głów. Wojna to konieczność naturalna i logiczna podobnie absurdalnych założeń i cel podświadomy tych zaczadzonych umysłów. Fikcje wyrosłe w ich mózgach są zaraźliwe, udzielają się otoczeniu z szybkością infekcyj; cechuje je bowiem łatwizna (pseudo-prostota), ta właściwość,

która ma swoje groźne odpowiedniki w psychice ludzkiej, w znanej ludzkiej tęsknocie ku ujęciom prostym i jasnym.

W osobniku opanowanym przez fikcję powstają ogromne potencjały woli, analogiczne do mocy rodzących się w geniuszach.

I nie byłoby to groźne, gdyby nie istniało w tym jedno wielkie „ale“, a mianowicie: ludzie fikcjami inspirowani to wyłącznie uczuciowcy, o mniejszym, lub większym natężeniu emocjonalnym i różnorodnej skali erupcyj, podczas gdy ludzie prawdy to niewyczerpane źródło poświęceń i wysiłków, jeden wielki rapsod pracy. Po tym ich łatwo odróżnić.

Pierwsi przyczyny napotkanych oporów przypisują wyłącznie zakonspirowanej kontrakcji. Zapominają oni o brakach we własnym planie i o niedostatecznych wiadomościach z tej dziedziny, którą chcą reformować, a w końcu mniemają, że kwestia tych zmian to tylko kwestia wysiłku jednego człowieka. Stąd pochopnie lansowana idea führer‘ostwa. A tymczasem trudności i opory rozwijają się przeważnie najnaturalniej w świecie i są wprost proporcjonalne do ilości popełnionych błędów, nawet w wypadku, gdy fikcje rozprzestrzeniają się w masach na kształt płomieni.

Dzieje się to dlatego, ponieważ inicjatywa jednego człowieka nie jest w stanie wyczerpać i zaspokoić wszelkich potrzeb i możliwości, a odruchy emocjonalne mas nie zdołały dotychczas i napewno nie zdołają dokonać same wszystkiego. Dalej, rzeczywistość jest w równej mierze różnorodnością, jak i jednorodnością; wynikiem wysiłków wszystkich ludzi, zarówno, jak i pojedyńczych jednostek, a także w równej mierze kwestią rozumu, woli, jak i uczuć. Tego nie chcą zrozumieć ludzie opanowani fikcjami. W ich wyobraźni przeszkody naturalne przeobrażają się w fikcyjne przeciwdziałanie wrogów i na tym właśnie tle zaczyna narastać bezzasadne uczucie nienawiści. Nieraz staje się ono tak wielkie, że dalszym argumentem mogą być już tylko pałka, rewolwer i bomba, lub też (na większą skalę) napad zbrojny i zawierucha wojenna. Fikcje przeradzają się wówczas w absurd.

Są jednak jeszcze ludzie na świecie, którzy twierdzą, że aby uzyskać trwałą wspólnotę grup, konieczne jest istnienie grupy antagonistycznej. Innymi słowy potrzebny jest przedmiot wyobrażający wrogie siły, na którym skupiałoby się i narastało uczucie nienawiści. Ma to być czymś w rodzaju odgromnika, czy też katalizatora procesów konsolidacyjnych. Moim zdaniem taka grupa antagonistyczna, to katalizator, ale wybuchów nieoczekiwanych, to prosta droga do wywołania zamieszek i rozbudzenia irracjonalnych instynktów. Z tego widać jak głęboko ludzkie mózgi zostały już przeżarte fikcjami, skoro do tak prostego stwierdzenia, jak: wspólnota ludzka i człowieczeństwo — potrzebuje się koniecznie wyobrażenia wroga. To tak, jakby się twierdziło, że aby być dobrym, musi się mieć ustawicznie zło przed oczyma i namiętnie je zwalczać i nienawidzieć. Trąci to niedorzecznością, bowiem sam fakt nienawidzenia nie pozwala być dobrym.

Szczęściem dla ludzkości byłoby, gdyby twórcy fikcyj pozostawali na niższych szczeblach, nie dysponując siłą, ani władzą, ale tak przeważnie nie jest. Zazwyczaj, gdy tylko zdobędą siłę i możność przeprowadzania zmian, gdy tylko dorwą się do władzy, wtedy świat staje się świadkiem ponurych szaleństw, zależnych li tylko (w całym tego słowa znaczeniu) od „widzimisię“.

Tym możemy wytłómaczyć fakt, że inaczej brzmią zapowiedzi, a co innego wynika z realizacji, że programy i plany, wprowadzane w życie ulegają ciągłym modernizacjom i przekształceniom, tak że doktryny i idee przeradzają się wkońcu w swoje własne przeciwieństwa. To wszystko zaś dzieje się kosztem milionów istnień, kosztem krzywd, niesprawiedliwości, wyzysku, głodu, nędzy i bezprzykładnych ofiar.

Przykład: Rosja sowiecka, Niemcy hitlerowskie, Hiszpania a nawet obecna Francja.

## Pochód fikcyjnych dogmatów

Taką starą fikcją, głęboko w umysłach ludzkich zakorzenioną, jest przekonanie, że światem rządzi prawo walki o byt. I to tak samo w świecie zwierzęcym, jak i ludzkim; pomiędzy jednostkami, grupami, narodami i rasami. Z tej walki, opartej jedynie na doświadczeniu wyniesionym ze świata zwierzęcego, zdołano w ciągu wieków uczynić dogmat, zasadę współżycia jednostek, narodów, a obecnie i ras; zasadę rozwoju historii.

Jedne fikcje zostały już zasiane w mózgach ludzkich, zaś w dalszym ciągu sieje się nowe, np. fikcja czystości krwi i rasy, która oderwała narody germańskie od rzeczywistości i napełniła ich mózgi wyobrażeniem nadczłowieka, przeznaczonego do panowania nad światem. Jakie były na to dane i jakie przesłanki tego przypuszczenia? Jak to wszystko zostało powiązane logicznie z faktem istnienia i prawem do samostanowienia innych narodów? Jaką to ma współodpowiedniość z prawdziwą, niezakłamaną rzeczywistością? Bóg jeden raczy wiedzieć, gdyż żaden człowiek kierujący się odrobiną rozumu pojąć tego nie jest w stanie.

Fikcja „homo oeconomicus“ zdołała już także dokonać — od czasu swego pojawienia się — gruntownej degradacji człowieczeństwa i wytworzyć fałszywe mity: raju materialnego, dobrobytu gospodarczego, industrializmu, technokracji i tym podobnych „nowych wspaniałych światów“. Mało kto się nad tym zastanowił, że przecież są to tylko naiwne uproszczenia rzeczywistości, sprowadzające ją właściwie do jednej tylko funkcji gospodarczej, albo powiedzmy szerzej do mocy wytwórczej—i na fakcie istnienia tej funkcji budujące dowolne kompozycje wyobraźniowe.

W obecnej chwili wyrastają, jak grzyby po deszczu, nowe, coraz to groźniejsze fikcje i tak na przykład, jedna z nich głosi, że wola Führer‘a jest prawem najwyższym w danym państwie. Niedaleko już jej do zniszczenia pojęcia istoty prawa i samego prawa w ogóle. Według innej, państwo jest istnością nadrzędną, wszystko jest dla państwa i wszystko przez państwo istnieje. Stąd już tylko krok do zupełnego obumarcia dynamiki ekspansywnej. Państwo bowiem jest machiną ciężką i przytłaczającą raczej wszelką dynamiczność swoim bezwładem, a oprócz tego nie jest w stanie wykreślić dorównanego schematu dla życia jednostki, schematu odpowiadającego wymogom i warunkom jej indywidualności, to jest zasadniczej przyczynie istnienia osobniczej prężności dynamicznej w ogóle. Skazując jednostkę na brak samodzielności, tępiąc jej przejawy, państwo

organizuje i powoduje powolne jej obumieranie. Jednostka, której odebrano inicjatywę i wolność samostanowienia, którą skazano tylko na bierne wykonywanie i bezgraniczne posłuszeństwo, musi zamierać w swej istocie, a w rezultacie zanikać musi dynamiczność państwa. Istotą bowiem życia jest samoistne wytwarzanie, a tym samym ustawiczne odnawiania swej mocy, dynamiki ekspansywnej. Fikcja nadrzędności państwa podcina zatem nerw życiodajny i już dzisiaj można obserwować gromadnie szerzącą się apatię. Dla podtrzymania erupcyj tej mocy zużywa się w wielu państwach kolosalne energie i sumy na propagandę, to jest na sui generis dawki narkotyku grupowego. Zakłamuje się coraz to potężniejszymi cyframi, opisami osiągnięć i zdobyczy w dziedzinie gospodarki i polityki. Takim to ciągłym ogłuszaniem i dopingowaniem starają się państwa utrzymać źródła energietyczne w ustawicznej czynności i wrzeniu. Ale cóż z tego, kiedy te zastrzyki z dnia na dzień coraz słabiej działają, stają się coraz mniej pobudzające. I może przyjść czas, kiedy dotychczasowe metody w najwyższych nawet dawkach nie zdołają zelektryzować zamierających społeczeństw. Wtedy — nie miejmy złudzeń — dyktatorzy, lub inni magowie dzisiejszej rzeczywistości, rozpętają zawieruchę wojenną, aby jeno uratować od ostatecznego pogromu swe fikcje i aby nie dopuścić społeczeństw do zupełnego uwiądu starczego. Byłyby to jednak odruchy rozpaczy, odruchy stanowczo samobójcze.

Tego samego pokroju fikcją jest podnoszenie narodu do rangi absolutnej, czyli wszystkości warunkującej i wyczerpującej treść jednostki. Bezkrytycyzm w tej dziedzinie przejawia się w takich ryzykownych zestawieniach jak np. totalizm państwowy w symbiozie z religią katolicką; i — ciekawe — że ludzie nie wyczuwają w tych zestawieniach niedorzeczności. To, że w życiu potocznym dają się pogodzić te sprzeczności, nie znaczy bynajmniej, że wszystko jest w porządku. Absurdalność bowiem fikcji totalizmu polega na tym, że się go wiąże z jakąś szczególną, nie wyczerpującą wszystkości treścią. Wskutek tego tak pojęty totalizm przeczy sam sobie. Ale jeżeli nawet zwęzimy pojęcie totalizmu do pojęcia państwa wszechwładnego, to i taki totalizm wyklucza czynniki, które by miały chociażby tendencje do przekroczenia nakreślonych im granic — a właśnie religia katolicka ma w sobie te tendencje, a nawet takie założenia. Należy zatem, aby uniknąć sprzeczności i pomieszania tych pojęć, rozróżnić je koniecznie i ustalić: albo totalizm jest „państwowy“, a wtedy należy wykluczyć z niego zasady religijne, albo też trzeba uznać, że totalizm jest to właściwie tylko nazwa, symbol pewnych kompleksów pojęciowych, i wobec tego nie stoi on z doktryną katolicką w żadnej sprzeczności (będzie to jednak prywatny kompleks pojęciowy) — albo wreszcie, i to zdaje się być najwłaściwszym wyjściem, nie używać terminu „totalizm“ tam gdzie on, że się tak wyrazę, nie „pasuje“, i tym samym nie tworzyć fikcyj.

Personalizm katolicki, uznający nadrzędność jednostki, to jakby w tym sensie odwrócony totalizm państwowy. Prowadzi on do koniecznego rozbicia wszystkich całostek na jednostki. Jednostki te mogą wprawdzie zrezygnować z czegoś na rzecz grup, takich jak państwa, narody, ale grupy te są wówczas dla takich założeń czymś w rodzaju zła koniecznego.

Fikcje proletariatu, burżuazji, zdołały już dokonać w historii potwornego zamieszania, a pomimo to jeszcze pokutują w wyobraźniach ludzkich i wciąż się jeszcze spotyka frazesy tej kategorii. Frazesy te poza wyobraźnią doprawdy nie mają dziś żadnej rzeczywistości i mogą tylko z wielkim trudem być do niej dociągane, przy odpowiednim, rzecz prosta, zakłamaniu. Fikcje *zasad* partyjnych, a specjalnie organizacyjnych, tak politycznych jak i zawodowych, zaczynają dopiero dojrzewać w umysłach ludzkich; zdaje się, że wkrótce będziemy świadkami chaosu, jaki się zacznie w koło nich wytwarzać

„Demokracja kierowana“ — „Kierownictwo zdemokratyzowane“ — „Postęp ludzkości“ — „Wielka idea“ — „Świat pracy“ — „Wielkie demokracje“ — „Fronty ludowe“ itp. — oto wylęgłe ostatnio w wyobraźniach fikcje, które zaczynają nabierać realnych kształtów i historiotwórczych rozpędów. Są one niestety przeważnie prywatnymi kompleksami pojęciowymi i wyobraźniowymi; i wskutek tego stają się powodem nieporozumień, rosnących na kształt lawin.

*Uwaga.* Raz jeszcze podkreślam, że za fikcję uważam to, co wyprodukowała ludzka wyobraźnia, mając do dyspozycji pewne intuicje, wrażenia, trochę doświadczeń, trochę logiki i pamięci. Ten konglomerat. udający się tylko na gruncie wyobraźniowym, pretenduje dziś do miana światopoglądu, a nie rzadko do tez programu politycznego, lub też do dogmatu doktrynalnego. W rzeczywistości zaś jest on tylko prywatnym kompleksem pojęciowym, a nawet ściślej: wyobrażeniowym. Czym innym nieco jest absurd; dopóki bowiem człowiek produkty swojej wyobraźni utrzymuje niejako w sobie, są one tylko fikcjami — skoro jednak stara się je urzeczywistnić, wprowadzić w czyn, stają się one podstawą absurdu.

## To, co nas dzieli

W fakcie powstawania prywatnych kompleksów pojęciowych tkwi jądro wszelkich nieporozumień. Tu jest gniazdo wylęgowe wszelkich fikcyj, stąd czerpie swą motoryczność absurd. Są one jakby doskonałym indywidualizmem pojęciowo - wyobrażeniowym, dostępnym niejednokrotnie tylko dla danej jednostki.

Nie powinniśmy się więc dziwić temu, że niejednokrotnie hasła tak wielkie i zasadnicze, iż zdawać by się mogło, że stworzą wspólną platformę porozumienia dla wszystkich, stają się w gruncie rzeczy przyczyną nieporozumień, zróżniczkowań i podziałów. Powodem tego jest zupełne niezrozumienie idei przewodniej, lub też powierzchowne jej potraktowanie. Brak rzetelnego wysiłku poznawczego, biorącego pod uwagę wszystko, co o tej idei mówi nauka, religia, filozofia, a nawet sztuka, niebadanie jak ta idea w ciągu historii była realizowana, wiele w niej wyszło na jaw fikcyjnych założeń i które z nich w całej swej rozciągłości zostały potwierdzone — oto są przyczyny pozornie odbiegające od istoty zagadnienia, a w gruncie rzeczy tworzące owe nieszczęsne „li-

## Od redakcji

**Odpowiedź Jerzego Brauna na artykuł polemiczny ks. dr. Jana Ciemniewskiego, ukaże się w n-rze grudniowym „Zetu“**

nie podziału". Brak tych uzasadnień rozumowych musi nas dzielić, gdyż na miejsce obiektywnych danych wkroczyć muszą fikcje i „widzimisię", wytworzone przez zasady różniczkujące, a oparte na nierzetelności, lenistwie i nieróbstwie.

Czyżby więc wszystko to, co dotychczas było współczynnikiem naszej rzeczywistości, było tylko momentem rozdzielającym, a nie łączącym? Z całą szczerością i odpowiedzialnością za słowa można powiedzieć, że tak. Nie można bowiem brać pod uwagę instynktownych dążeń dośrodkowych, gdyż te były wynikiem działania zasad raczej poza - człowieczych, stąd ich nazwa „instyktowne", pozaświadome — a więc nie człowiecze.

Przyczyną zaś była i jest „literackość" psychiki polskiej, stosowanie metod postępowania à la sommosierryzm — hurra - patriotyzm — atak na zbity łeb — chęć schłonięcia za jednym zamachem, przez jedną zwariowaną szarżę, tego, co tylko w długim wysiłku i pracy żmudnej się zdobywa.

Wydanie w jednej chwili wszystkiego ze siebie i to więcej dla samego efektu pędu ,niż dla jego logiki i sensu — wiara w rozpęd, który sam ma wszystko jakoś załatwić — oto jądro i najistotniejsze źródło fikcyj i absurdów; oto metoda, która nas dzieli i rozprasza; sieje nieporozumienia i zamęt; która wytwarza nieprzemyślane hasła, tętniące wprawdzie wnętrznym rozpędem, tak drogim dla Polaków, ale jakże w gruncie rzeczy bezzasadnym, nieprzemyślanym i nieopanowanym.

Na takie hasła właśnie biorą się dziś ludzie, bo w ich duszach drga również ten sam ton, w uszach ich świszcze ten sam pęd wichru. Ale skoro na przeszkodzie nie staną wąwozy śmierci, najeżone armatami, a jeno twarde, nieustępujące pod naporem szaleństwa życie; kiedy nie zamajaczy w zenicie bohaterski zryw, cel dla ambicji i straceńczej odwagi — wtedy obudzeni rycerze Tatr zasypiają na nowo snem kamiennym, a Chochoły - Fikcje zajmują miejsce przeznaczone dla woli, wysiłku i mądrości ludzkiej i zaczynają grać melodię. Ale już nie tę z „Wesela" Wyspiańskiego, ale dziką sarabandę zniszczenia.

Do walki z fikcją stanąć może tylko praca ludzka, rzetelny wysiłek, przewalczający własne lenistwo i lekkomyślność, a mający za cel taką rzeczywistość, w której pomieściłyby się wszystkie ludzkie pragnienia i cele dotychczas luzem chodzące i dlatego zamieniające się w fikcje. Wtedy tylko osiągniemy język prosty i zrozumiały, bowiem przewalczona zostanie w nas łatwizna subiektywnego spostrzegania, rozumienia i tworzenia.

Ostatecznie więc dzielą nas nie tylko fikcje, ale i sama nasza postawa wobec świata, której punkt ciężkości został źle umieszczony. Ten błąd mści się na nas, pchając nas w objęcia krwawego absurdu.

Nierzetelność zaś, łatwizna i lenistwo przesłania człowiekowi poznanie tak prostego faktu, że musi przecież istnieć jedność, z której pochodzą te wszystkie odpryski, jakimi są fikcje i chwilowe prawdy, i że owa jedność obdarza je swoją wieczną tęsknotą do tego jedynego totalizmu, zamykającego naprawdę wszystkość, bo będącego tej wszystkości wytwórcą.

Dzieli nas więc nieuznanie dotychczas prawdziwego i istotnego człowieczeństwa.

*Stanisław Wachal*

# Brońmy formistów — przed formizmem

## 1) Mój dowód osobisty

P. Mirosław Starost pisząc artykuł o naturaliźmie [1]), wezwał mię łaskawie do dyskusji. Chociaż zagadnienie to nie zajmowało mię ostatnio, zabieram jednak głos głównie z tej przyczyny, że wspomniany artykuł jak i pierwszy głos dyskusyjny Mariana Niżyńskiego [2]) są wypowiedziami niezmiernie interesującymi, i z radością witam wysoki poziom tych prac, świadczący o samodzielnym przemyśleniu zagadnienia, o gruntownej znajomości zagadnień sztuki i filozoficznej podbudowie rozważań. Podkreślam z całym uznaniem ten fakt, bo rokuje on przecież może przełom w naszym życiu literackim, przebrnięcie przez dotychczasowe mielizny i płycizny dyskusyjne, którymi się karmiono dotąd do syta. Kilka ostatnich dyskusyj, z których przypomnę choćby hamletowską, wskazuje, że przezwyciężamy powoli impas lat poprzednich i w zagadnieniach teoretycznych zyskujemy nowe wartościowe pióra.

Miałbym wprawdzie pewne wątpliwości, czy godzi się *mnie* mieszać do tej obecnej dyskusji. Obaj bowiem szanowni i sympatyczni autorzy pouczyli nas jednozgodnie (powtarzając za Witkacym), że powieść nie jest i nie może być dziełem czystej sztuki, — i wyłączyli ją ze swych interesujących rozważań [3]). Otóż — znacie mię panowie obaj — jestem tylko prozaikiem, więc niekwalifikowanym artystą w waszym pojęciu. Filozofem też nie jestem. Przyjmijcież mię więc łaskawie do swego grona jako półartystę, jako laika, który mimo wszystko, po laicku uważa powieść za *dobrą* sztukę (o *czystość* mi nie chodzi, to sprawa panien i monopolu spirytusowego), a siebie za całego artystę. Tak więc z tą trochę podrobioną legitymacją staję do dyskusji.

Jeszcze jedna uwaga: o artyzm powieści nie rozprawiam się dzisiaj, bo to do tematu nie należy, jednak skorzystam jeszcze ze sposobności, by tę sprawę poruszyć.

I druga: to coście panowie dotąd o samym naturaliźmie napisali odpowiada mi niemal w zupełności, dlatego postaram się raczej dorzucić kilka uwag dalszych.

---

[1]) „P r o s t o z M o s t u" nr. 49/37. — „Sztuka czy naturalizm".

[2]) „Z e t" nr. 6-7/37. — „Prawda leży w człowieku".

[3]) Nie rozumiem tylko, poco Niżyński mówi obszernie o naturaliźmie Zoli, skoro powieść wyświecił z dziedziny sztuki?

## 2) Nie ma naturalizmu

Przedmówcy moi słusznie szukali źródeł naturalizmu w filozoficznej dwoistości: heteronomii i autonomii, w bycie i wiedzy, — w antynomii tych pojęć.

Określono po poetycku talent jako zdolność zbliżenia dwu prawd artystycznych: prawdy o pięknie bytu i prawdy o pięknie wiedzy czyli myśli (Niżyński). M. Starost twierdzi zaś, że w plastyce uświadomienie autonomii u artysty, musi wróżyć przyszłość kierunkom formistycznym, abstrakcyjnym, konwencjonalnym, a więc tym, które są antytezą naturalizmu. O tym jeszcze pomówimy. Na razie chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na pojęcie naturalizmu w samej filozofii.

Naturalizm w filozofii to kierunek oparty na kategoriach przyrodniczych, wykluczający byt duchowy. Tak np. w socjologii zapoznaje ten kierunek siłę działania idei, a za właściwy motor działań ludzkich uważa czynniki automatyczne, jak rasę, środowisko i inne warunki biologiczne. Sądzę, że to przypomnienie naturalizmu filozoficznego, zbliży nas dobrze do pojęcia naturalizmu w sztuce. Jeśli tu naturalizmem zwiemy naśladownictwo natury, to oczywiście popełniamy pewną niedokładność, którą obaj autorzy zresztą dostrzegli.

Jeśli bowiem w plastyce ostatecznie od biedy można by jeszcze naturalizmem nazwać kopiowanie natury, to jednak w literaturze [4]) pojęcie to stanowczo już nie wystarcza, gdyż często pisarza traktującego naturalistycznie (w sensie plastycznym) temat, nie będziemy mogli nazwać naturalistą dla innych jeszcze przyczyn, o których dalej wspomnę.

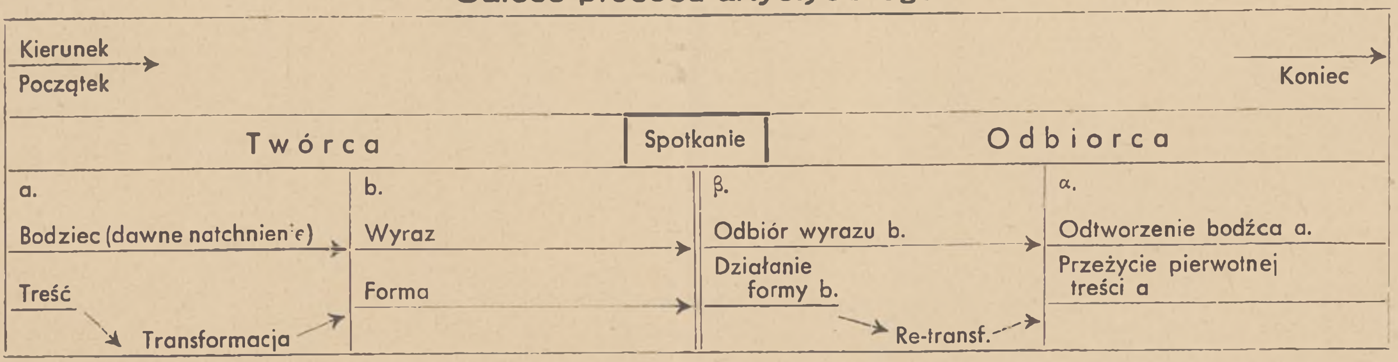
Naturalizm tak pojęty nawet w plastyce nigdy nie istniał, czego dowodem jest prawda, że możemy zawsze odróżnić od siebie dwa dzieła różnych plastyków. Taka bowiem jest najważniejsza rola talentu, że indywidualizuje w dziele sztuki — rzeczywistość heteronomiczną. Gdyby wierne kopiowanie natury było w ogóle możliwe, oczywiście nie zachodziłyby wtedy żadne różnice między dziełami pojedyńczych naturalistów. Nie ma bodajże nawet w mechanicznej fotografice, dwu identycznych obrazów natury. Natura nie jest do naśladowania, bo prócz przestrzeni niemożliwej do skopiowania w innym wymiarze — jest w niej jeszcze czas, — nieuchwytny. Ponieważ więc tak jest, twierdzić musimy, że i w naturalistycznych szkołach plastycznych, daleko było do integralnego naturalizmu jako kopiowania natury. Raczej ważne tu jest *świadome* postawienie sobie tego właśnie zadania: naśladowania natury (podkreśla to słusznie Niżyński). Tak też w literaturze, — nie zaciekłe studium natury ludzkiej i warunków danych jest znamieniem zdecydowanym naturalizmu. Dopiero związanie losów człowieka z naturą jego własną i naturą warunków otaczających, uzależnienie go pesymistyczne od biologii, daje mi pojęcie naturalizmu istotnego. A-naturalizmem dla mnie jest tworzenie życia powieściowego, niezależnego od warunków zastanych, oswobodzenie go od konieczności materialistycznej, a więc heroizm kreacjonistyczny, choćby tragiczny — niemniej w założeniu swym optymistyczny, uwalniający od przymusu.

Wróćmy jednak do plastyki z zakazanego terenu powieści.

## 3) Rozpoczynam kłótnię

Ustawiłem sobie kiedyś, dla mej prozaickiej głowy, taki prymitywny szemat przebiegu procesu tworzenia i konsumowania dzieła sztuki w ogóle, którego się trzymam:

**Całość procesu artystycznego.**




*Objaśnienie:* istotą sztuki jest taka transformacja treści, by mimo nią i przez nią forma wywołała u odbiorcy przeżycie treści pierwotnej (możliwie zbliżone). Przeżyciem nazywam doznanie pojęciowo-zmysłowe, jak wiemy bardzo skomplikowane.

*Uwaga 1.* — P. Starost sam podkreśla, że wedle twierdzeń psychologii, walor *pojęciowy* zajmuje wśród innych skojarzeń psychicznych hierarchicznie *najwyższy* stopień, a więc stoi ponad walorami dźwiękowymi, obrazowymi. Pamiętajmy o tym.

2. Formą nazywa *stosunek* elementów dzieła sztuki, treścią — *same* te elementy.

3. Ja nazywam formą — (za Adamem Bunschem), składniki bezpojęciowe, działające na zmysły (percepcja), a treścią — składniki pojęciowe (apercepcja).

Jest oczywista sprzeczność w pojęciu formy i treści między mną a p. Starostem i wiem, że wybiegam tu zdecydowanie poza ujęcie czystej formy Witkacego, które p. Starost aprobuje, aprobując zarazem w plastyce abstrakcyjny formizm jako najwyższy wyraz autonomicznej twórczości. Nie czyni tego w odniesieniu do sztuk *słowa*, zaznaczając, że w tych sztukach wartości pojęciowe są pierwszorzędne. Wypływa to z zasadniczego rozbicia rodzajów sztuk wedle ich istoty na kategorie: *czasową* (muzyka) — *przestrzenną* (plastyka) — i *rozumowo - pojęciową* (sztuki słowa). Tak więc w plastyce i muzyce element pojęciowy byłby — nieistotny.

---

[4]) Mówię: literatura, co p. Starost zastępuje pojęciem „sztuka słowa", gdyż wyłącza powieść, a ja uparcie przy mej powieści obstaję, więc wolno mi pisać: literatura.

Otóż wyznam, że rozróżnienie to mnie nie przekonywa, co łatwo pojąć na tle mego szematu, z którego wynika, że składniki pojęciowe (jak stwierdziliśmy — psychologicznie, a więc ogólnie najważniejsze), winny być pierwsze i konieczne w *każdym przeżyciu* artystycznym (słowo „przeżycie", zdaje mi się, jest wyklęte w obozie Witkacego, jako bebecho-wstrząs, czy coś podobnego, ale to nie szkodzi). Wydaje mi się niemożliwością tak u artysty (zachodnio-europejskiego) jak i u odbiorcy, by bodziec (a) i jego końcowe odtworzenie (α), mogły się obejść bez tych walorów, które nazywam *treścią* (uwaga 3) pojęciową.

Ponieważ różnimy się tu zasadniczo, gdyż ja nie wierzę jak p. Starost i miejscami p. Niżyński[5]) w przyszłość abstrakcyjnego formizmu w plastyce (który zresztą, jak przyznaje p. Starost, nie przyniósł jeszcze zasadniczego rozwiązania), przeto postaram się uzasadnić moje wątpliwości, opierając się na wynurzeniach Adama Bunscha z jego doświadczeń artystycznych; zaznaczę przy tym z góry dla jasności, że nie jestem bynajmniej wrogiem formizmu lub wyznawcą naturalizmu, co n.b. widać już z mego rozumienia powieści. Myślę tylko o pewnej korekturze pojęcia formizmu, mianowicie o korekturze, która mogłaby usunąć tragiczne nieporozumienie: niechętne przyjęcie tego kierunku przez odbiorców, niemożność wzbudzenia przeżycia artystycznego u odbiorcy.

## 4) Świadczę się przyjacielem

Otóż Bunsch, który mi pokazywał niedawno temu karton nowego witrażu, o t. zw. literackiej treści (legenda o św. Jacku), przerysował mi tę kompozycję szkicowo a zarazem abstrakcyjnie, kładąc zamiast przedmiotów bezpostaciowe kreski i plamy, naśladujące wiernie kształt i układ elementów obrazu. Powstała w ten sposób abstrakcyjna kompozycja (oczywiście analogiczne doświadczenie podjął się przeprowadzić odnośnie kompozycji barw), — o której twierdził, że jest istotną a zarazem pierwotną koncepcją *formy*, którą następnie ukształtował *treść* pojęciową, zastępując wszystkie napięcia kierunkowe i barwne, przedmiotami pojęciowymi. Słowem, zastąpił treść wedle definicji p. Starosta (elementy same) — treścią pojęciową. Dlaczego tak uczynił? — Jak mi się zdaje — dlatego, że pierwotnym bodźcem była treść pojęciowa, — przez następną transformację abstrakcyjną, ukształtowana w formę. Bunsch twierdzi dalej, że jest to stała mechanika jego malarstwa.

Sądzę, że zostałem zrozumiany. Bunsch komponuje obraz formalnie (stosunek elementów—w pierwszym rzucie abstrakcyjnych), jednak te elementy abstrakcyjne przekształcają się w pojęciowe, tak, że w rezultacie powstaje obraz, który przemawia do widza najpierw formą (zmysłową), jednak z dołączeniem treści pojęciowej, która w rezultacie (niezamierzonym), buduje skończony pomost do przeżycia obrazu przez widza.

Jakkolwiek nie zupełnie zgadza się to z mym szematem (co pozostawiam na boku, bo to, o co mi chodzi, się zgadza), wydaje mi się, że Bunsch tworząc w ten sposób, daje *syntezę* naturalizmu heteronomicznego z abstrakcjonizmem autonomicznym.

Czy uświadomienie tego stanu nie jest odkryciem? (Oczywiście nie mówię o sobie). Przecież u formistów forma (stosunek elementów) (b) jest wiernym powtórzeniem treści (samych elementów) (a) — skutkiem czego odbiorca ma do czynienia z obrazem pozbawionym treści pojęciowej (człowiek, zwierzę, kwiat i tp.), oraz „literackiej" — (uczucia, zdarzenia i tp.), — co stało się przyczyną tak wielkiego rozdźwięku między współczesną plastyką a odbiorcami.

Jest to wynikiem przesadnego poczucia autonomii i pryncypialności prądów współczesnych, i ich apodyktycznego charakteru. Gdy stwierdzono (słusznie), że istotą plastyki jest pierwotny rzut *formalny* (szemat układu barw i linij) — uważano, że wszystko inne jest bagażem niepotrzebnym i szkodliwym.

Zwrócę tu mimochodem uwagę na sprawę „transformacji". Oczywiście rozumiem tę transformację jako ogniwo przebiegu procesu, — jako podświadomy, konieczny i niezastąpiony indywidualnie, niepowtarzalny wyraz artystyczny. Spotyka się jednak często w plastyce — transformację sztuczną i naciąganą. Gdy malarz raz zdał sobie sprawę, że ta transformacja jest istotą jego twórczości — pozwala sobie na harce w tym terenie, paczące już treść pojęciową, poza możliwość retransformacji u odbiorcy.

## 5) Komu śpiewamy?

Po cóż więc w tym zagadnieniu formizmu i deformacji stwarzać stany utrudniające cel społeczny sztuki, tj. komunikację między artystą a odbiorcą, o którą przecież każdemu artyście, bez osłonek — chodzi [6]), po co zubażać środki po temu, skoro istnieje syntetyczna możliwość włączenia w dzieło sztuki treści pojęciowej, która bynajmniej nie wyłącza kompozycji formalnej. Jesteśmy istotami rozumnymi i nie mogę sobie wyobrazić stanu, bym w przeżyciu dzieła sztuki, nawet plastycznego, wyłączył ośrodki pojęciowe, i odbierał obraz tylko zmysłami. Tak jak w owej gadce, nie nadającej się do powtórzenia, gdzie facecjonista jeden patrzył na pewien drastyczny obraz „natury", zasłaniając jedno oko ręką (gdyż za patrzenie groziło przekleństwo ślepoty) — i wołał „pal fuks jedno oko"!

Myślę tylko, że kompozycja syntetyczna Bunscha wymaga znacznie więcej wysiłku niż — jak to twierdzi p. Starost — droga, jego zdaniem, trudniejsza: „wydobywania z nieskończoności linij, płaszczyzn i brył, zawartych potencjalnie w przestrzeni, elementów nie obserwowanych w życiu".

Ostatecznie spór nasz wynika tylko z tego podziału p. Starosta na kategorie — poza-„pojęciową" sztuk słowa—„czasowe"—i „przestrzenne", przy czym w dwu ostatnich treść pojęciowa ma być elementem obcym. Przyznaję, że sytematyka tego podziału jest wzorowa. Wedle moich bowiem wywodów nie można uzasadnić abstrakcyjności muzyki. Otóż co do muzyki, to nie orientuję się jeszcze wyraźnie, może dlatego, że na muzyce nic się nie znam. Co do plastyki jednak — przeczę. Nie umiem tego uzasadnić argumentem estetycznym, jednak przytoczę argument hi-

---

[5]) Marian Niżyński — o ile rozumiem — ostatecznie przypisuje znaczenie antytezie: naturalizm — abstrakcjonizm, jedynie, jako antynomii bios-logos, dynamizującej rozwój twórczości artystycznej. W wyniku tego stanowiska koncepcja jego jest pesymistyczna, niemal tragiczna, gdyż nie przewiduje nadrzędnej syntezy. W zakończeniu jego artykułu widać też skłonność do poetyckiego tragizowania.

[6]) Najwięcej może owym „czystym" formistom.

storyczny. Przecież od zarania swych dziejów malarstwo szłoby fałszywą drogą, uwzględniając zawsze pojęciową treść i będąc w tym sensie naturalistycznym malarstwem — od prymitywu jaskiniowego, poprzez wszystkie kierunki z impresjonizmem i kubizmem włącznie. Trudno mi przypuścić, byśmy dopiero w XX wieku po Chrystusie poznali błąd *najistotniejszy*, kardynalny, powstały w czasach przedhistorycznych, mimo którego jednak zbudowano wspaniały dorobek malarstwa zachodnio - europejskiego [7]).

## 6) Wysługuję się jeszcze kimś bliskim

Czymże wreszcie jest ten czysty abstrakcyjny formizm w plastyce, jeśli nie ornamentem [8])? I tu wytaczam jeszcze jeden argument, znowu (wyznaję z pokorą) zbudowany na cudzej opinii. Wolę już jednak w obecnym, urodzajnym czasie plagiatów przyznać się jawnie do zapożyczenia myśli, niż składać to potem na pośpiech pracy, chęć spopularyzowania okradzionego, lub wprost na nianię czy zgoła babcię.

A muszę być ostrożny, gdyż okradłem już raz w życiu bez udziału świadomości a z bożej łaski — Tetmajera, powtórzywszy swobodnie i z niskim reweransem dla własnej (!) fantazji — jego metaforę w wierszu (!), którego na szczęście mi nie wydrukowano. Wówczas uważałem to oczywiście za nieszczęście, ale gdym się zreflektował, że buchnąłem metaforę, — uznałem nieszczęście za szczęście i na tym utożsamieniu się skończyło.

Muszę zwrócić uwagę na niesłychanie ciekawą rozprawę Karola Homolacsa [9]), w której autor konstatuje, że sztuka plastyczna *zachodu*, której ostatnim stopniem rozwoju jest impresjonizm, opiera się na zasadzie odbicia *świata zezwnętrznego* w duszy artysty, podczas gdy sztuka *wschodu*, której formą najistotniejszą jest ornament *abstrakcyjny* (otóż!)— zasadza się na odbiciu *wewnętrznego świata duszy* artysty, na powierzchni przedmiotu. Przeciwstawienie, dające się ująć inaczej w antynomii najogólniejszej: obiektywizm — subiektywizm, i ostatecznie naturalizm — abstrakcjonizm.

Kierunki zachodnio - europejskie, po-impresjonistyczne (nie znajdujące już żadnej dalszej możliwości rozwoju sztuki „obiektywnej"), zrywają właśnie z tym, istotnym dla naszej kultury obiektywizmem i przerzucają się nieświadomie w domenę wschodu [10]), szukając form oderwanych od rzeczywistości — subiektywnych, abstrakcyjnych. Ale właśnie historia sztuki wschodu dowodzi, że czysta — abstrakcyjna twórczość nie rozwija się dalej, że skostniała, doszedłszy wcześniej niż nasza do wyczerpania swych możliwości, że więc też nie jest właściwym wyrazem sztuki. Stąd oczywisty wniosek, że przyszłych form rozwojowych plastyki szukać trzeba w syntezie tych dwóch wykazanych antytez.

Czyż rozwiązanie Bunscha nie jest odpowiedzią? Jestem ostrożny, nie ufam nagłym objawieniom, nie lubię przesady, więc i nie chcę twierdzić dzisiaj, że Bunsch tę syntezę znalazł. Wyglądało by to na rewelację. Chcę jednak stwierdzić, że jest na dobrej drodze.

Tyle miałbym do powiedzenia na marginesie naturalizmu i abstrakcjonizmu.

Wiem, że ani w przybliżeniu nie zdobyłem się na tak rzeczową jasność i wykończenie jak p. Starost w swym artykule — ani na poetycki polot i oczytanie Niżyńskiego, — gdyż nie jestem ani filozofem, ani poetą. Wyprułem tylko ze siebie chaotycznie wszystkie me niepokoje w tej sprawie.

I choć przyzwoiciej i grzeczniej było by ubolewać nad tymi brakami, jednak pogodnie i cicho oświadczam: jestem tym, kim być mogę, tylko — powieściopisarzem, a z piasku — bicza nie ukręcisz.

*Tadeusz Kudliński*

---

[7]) Na szczęście ostatnimi czasy zanikły pierwotne obrazoburcze hasła np. futuryzmu, by cały tradycyjny dorobek wyrzucić po prostu na śmietnik.

[8]) Zgodzą się obaj szanowni dyskutanci, że formizm czysty zjawił się i w teatrze, gdzie przy rewolucyjnym rozmachu teatrzyków awangardowych — doszedł do wyznania, że przedstawienie jest kompozycją przestrzeni, ruchu, światła i słowa, jako elementu czysto brzmieniowego, z wyłączeniem niemal zupełnie wartości pojęciowych — analogicznie jak w obrazie formistycznym. Hasło to traktowane jest zupełnie serio i nikt tej bzdury poważnie nie zwalcza.

[9]) Polska a sztuka wschodu i zachodu, (Gazeta literacka, nr 2 - IV — i osobna broszura).

[10]) Od siebie dodam: nie wiem, czy religijny zakaz podobieństw nie odegrał tu pewnej roli,

# Poza dyskusją

Parę tygodni temu zainicjowałem w tyg. „Prosto z Mostu" zasadniczą dyskusję na temat „Sztuka czy naturalizm". Od dyskusji tej autor art. „Prawda leży w człowieku" („Zet", nr. 6 - 7) odciął się zasadniczo („W dyskusji głosu nie zabieram"), lecz ponieważ poruszył także ten sam temat, pozwalam sobie skreślić poniższe uwagi.

Autora art. „Prawda leży w człowieku" cechuje, jeżeli chodzi o całokształt problemu: sztuka czy naturalizm, stanowisko wyraźnie pasywne, będące raczej ucieczką od zagadnienia. Powtóre operuje on nie dość sprecyzowanymi pojęciami, wprowadzając tym chaos, wikłając się i wreszcie obracając mimowoli swe zdania przeciwko samemu sobie. Charakteryzuje go też dziwna niechęć do abstrakcyjnych sformułowań, bez czego w ogóle nie sposób mówić o tego rodzaju zagadnieniach, wymagających syntetycznego ujęcia.

Zacznę od analizy niesprecyzowanych pojęć autora, a mam nadzieję, nie spotka mnie zarzut czepiania się słów, gdyż *pojęcia* to nie jest „coś zewnętrznego", one niosą, implikują ładunek treściowy, a więc to, o co właściwie chodzi.

Np. termin (w tym wypadku podstawowy!): „zależność od natury". Która? Zależność ta rozpada się wszak wyraźnie na *heteronomię absolutną* (materiału, w którym artysta tworzy i od którego, jako człowiek, oderwać się nie może), oraz *heteronomię* (zależność) *względną*, tę właśnie naturalistyczną, że tak powiem dobrowolną. Jeżeli autor pisze: „zależność od natury... nie jest naturalizmem... cechuje ona sztukę w ogóle, i tę naturalistyczną i tę abstrakcyjną", to jest, mimowoli, w sprzeczności z samym sobą, gdyż musi choć odczuwać *dwie* różne zależności (absolutną i dobrowolną), jeżeli w ogóle rozróżnia w sztuce „tę naturalistyczną" i „tę abstrakcyjną". I nie ma tu żadnej „luki". Podobnie przedstawia się sprawa owego stosunku do rzeczywistości: „religijnego i logicznego". Co to znaczy? Znam trzy *logiczne* stosunki do rzeczywistości: religię, poznanie (filozofia, metafizy-

ka) i sztukę. Logicznie są one równouprawnione. Jeżeli termin „logiczny“ ma tu znaczyć „poznawczy“, to użyty jest zgoła błędnie. Logika bowiem, jako *forma* myślenia, nie jest nigdy i nie może być (ze swej natury) wykładnikiem niczyjego stosunku do rzeczywistości. Rozumowanie inne byłoby wręcz nie-logiczne, tak jak na przykład nie można mieć gramatycznego stosunku do rzeczywistości. Albo chwyt tego rodzaju: „....człowiek, element natury“. Znowu brak elementarnej (właśnie) dystynkcji : człowiek (bios) o tyle jest elementem natury, o ile człowiek (logos) nim nie jest. Nie widzę potrzeby mnożenia tego rodzaju przykładów. Tak oto brak podstawowych *rozróżnień* powoduje ciągłą konieczność „przekładania“ zdań autora i tłómaczenia sobie, jaką w danym momencie pod pojecia użyte podkłada treść. Więcej nawet, nieuporządkowanie to podcina własne jego tezy. Walcząc o równouprawnienie naturalizmu z abstrakcjonizmem pisze: „z jednej strony *naśladownictwo* [1]), z drugiej *samowystarczalność*“, „...chęć *naśladownictwa* to wulgarny profil... *żądzy stwarzania*“ i temu podobne. Wszak elementarna analiza *filologiczna* tych zdań wykazuje jak na dłoni, gdzie schroniła się, w tych przeciwstawieniach, twórczość, ów podstawowy element sztuki. Zgadzam sie z tym, że naśladownictwo to nawet bardzo wulgarny profil żadzy stwarzania; tak sie ma do niej, jak Laertes do Hamleta. Wreszcie stwierdzenie wręcz niesamowite: „*naśladować* wszakże, to raz jeszcze *powtórzyć akt twórczy*“. Ponura to wizja seryjnych aktów twórczych, ale przyjrzyjmy sie jej możliwie spokojnie. Akt *twórczy* jest jeden, indywidualny, niepowtarzalny, i nie ma dwu identycznych aktów *twórczych*. Ale czy zdanie owo nie jest mimowolnym hołdem złożonym właśnie... *aktowi twórczemu?* Wszakże stwierdzenie to, jak i wszystkie zacytowane poprzednio, jest właśnie kapitalną afirmacją twórczości, surowym potępieniem (a contrario) owego naśladownictwa.

A czymże innym jest w gruncie rzeczy teza: „abstrakcjonizm zrodził sie z uświadomienia sobie zupełnej swobody *twórczej*“. Tak mimowoli, a raczej wbrew swej woli, oddaje autor hołd owej swobodzie twórczej, w sztukach kategorialnych (muzyka, plastyka) kulminującej (ostatecznie) w abstrakcjoniźmie. Jeżeli teraz przyjmiemy stosunek: naturalizm—abstrakcjonizm, jako: naśladownictwo — twórczość możliwie uniezależniona, to stwierdzić trzeba, że drugie założenie jest jedynie zgodne z najistotniejszą podstawą sztuki. Analogia: byt — wiedza, jest tu użyta bezpodstawnie, równie, jak analogia dwu płci. Obie przekreśla znowu sam — autor, własną swą asymptotą. Jeżeli ciągnie się ona miedzy współrzędnymi: „natura“ — „logos“, to może tu być mowa jedynie o antynomii: konieczność — wolność, postulującej właśnie *przejście* od pierwszej do drugiej. Fakt, że obecnie sztuka znajduje się gdzieś „pośrodku“, jako powszechnie wiadomy, nie jest żadną rewelacją. Chodzi jedynie o to, w jakim kierunku ma się sztuka po tej linii posuwać. I to jest problem: sztuka czy naturalizm (w postaci czystej — sztuka, maksymalnie 100 proc. twórcza, w nieskończoności — naturalizm maksymalnie naśladowniczy — w „drugiej nieskończoności) i tu nie ma stosunku płci, gdyż inaczej byłaby to hermafrodyczna „asymptota Koubkowa“.

Zdanie: „formułując... istotę sztuki powtarzanym tak często powiedzeniem, nie chodzi w niej nigdy o kierunek, charakter, epokę, treść, *formę*, (?!) itd. słowem „w jaki sposób“ i „co“ — tylko „jak“ — budzi poważne wątpliwości:

1) dlaczego to (oprócz treści) i forma odniesiona została do „co“ a nie do „jak“? Jeżeli i treść i forma składają się na „co“, to „jak“ redukuje się do zera;

2) jeżeli to jednak forma = „jak“ — nie mamy prawa zapominać o istnieniu dwu form: zewnętrznej i *wewnętrznej*, dla której „rzeczy“ takie jak charakter, kierunek i t. p. bynajmniej *nie są obojętne;*

3) poco niepokoić dobrze zasłużony spoczynek babuni formy i wyciągać „rewelacje“, że nie „co“ a „jak“, skoro rozmowa o sztuce implikuje u podstaw swych to *elementarne* założenie „jak“, którego nie trzeba ustawicznie wywlekać, tak jak dyskusja o wyższej matematyce nie wymaga recytowania przez biorących w niej udział tabliczki mnożenia. Że dyskutanci ją znają, to się rozumie. Dyskusje o problematyce sztuki toczą się w ogóle na *generalnej*, dla wszystkich oczywistej *płaszczyźnie „jak“*.

Stwierdzenie: „usiłowanie wysublimowania z jakiegokolwiek kierunku w sztuce jej najczystszych wartości z pominieciem wartości artystycznych samego twórcy jest bezprzedmiotowe“ — cytuje jako jeden z licznych przykładów wspomnianej niechęci do sformułowań abstrakcyjnych.

A teraz clou wszystkiego: „A filozofia sztuki? To ci, którzy albo wiedzą, albo jeszcze nie wiedzą, że o sztuce nic nie wiedza“. Zwracam uwage na pare punktów, które rolę filozofii sztuki, choć zgrubsza, unaoczniają: 1) wielkie przewroty światopoglądowe miały decydujacy wpływ na sztukę (np. klasycyzm — romantyzm), 2) w narastaniu historii obserwujemy co raz wiekszy wpływ, udział *świadomości* w twórczości artystycznej, 3) załamania, wyczerpania jej znaczyły się kleskami sztuki, upadkami (w naturalizm, w naturalizm! słusznie to stwierdza S. I. Witkiewicz), wreszcie 4) — raczej o znaczeniu praktycznym — uświadomienie ogółu o problematyce sztuki usunełoby wiele tragicznych nieporozumień, paczących, a nawet łamiących twórczość artystyczna, w rodzaju znanych posunięć hitleryzmu, czy kleszczy krytyki marksistowskiej.

A talent? W artykule mym w „Prosto z Mostu“ ujałem tak: „to, co piszę nie jest programem, ni czymś podobnym... zadaniem mym była wyłacznie próba sformułowania, w jakim stopniu możliwa jest i jak wyglada sztuka, w której autonomia *twórcy* manifestowałaby się w pełni, krepowana jedynie elementami nieuniknionej, absolutnej heteronomii materiału, w jakim *artysta* tworzy“. Sapienti sat, i czytając słowa — „twórca“ i „artysta“, nie bedzie pytał, gdzie „to siedzi“, gdzie tu miejsce na talent, intuicję, indywidualność itp.

Uwagami tymi sprawę artykułu „Prawda leży w człowieku“ uważam za całkowicie wyczerpaną i nie będę do niej powracał.

*Mirosław Starost*

---

[1]) Podkreślenia moje.

[2]) Autora kusi niezmienność, doskonałość natury. Właśnie dla tych cech, dla tej s k o ń c z o n o ś c i form natury, rozdział między nią, a sztuką jest b e z n a d z i e j n y.

# Z kraju i ze świata

## Z. N. P.

Kurator Musioł zgłosił ze swego stanowiska rezygnację, która została przyjęta. Miejsce jego objął p. Seweryn Maciszewski, naczelnik wydziału prezydialnego Min. W. R. i O. P. Nie sądzimy, aby odwołanie p. Musioła mogło nie wpłynąć ujemnie na reorganizację Z. N. P. Półtora miesięczna praca p. Musioła nie mogła przecież jeszcze przynieść efektu znacznego, mogła co najwyżej tylko zapoczątkować reformę.

W fakcie ustąpienia p. Musioła, podobnie jak w wielu innych połowicznych faktach naszego życia publicznego, widzimy brak determinacji i jasnej decyzji u czynników, które decydują się na pewne akty publiczne. Nie można przecież być przekonanym, że ciągłość pracy zyskuje na zmianie kierowników. Fluktuacja i płynność jest objawem słabości i niezdecydowania.

Połowiczność zabija najpiękniejsze próby reformy. W rezultacie pogłębił się tylko chaos. Zacierają się ostre kontury decyzyj i otrzymujemy typowo polski obrazek „kręcenia się w kółko".

Zmiana kuratora, jak i skład jego rady przybocznej, utwierdza nas w przekonaniu o chęci „pacyfikacji" i tuszowania całej sprawy. Komu w Polsce potrzebna jest ustawiczna atmosfera niedomówień, niejasności i niezdecydowania? A co za tym idzie, niemoc ideowa?

## Cui bono?

W „IKC" ukazał się niedawno znamienny artykuł, zestawiający złośliwie listę osób, z których pomocy korzystał Trentowski. Zdaniem naszym pomoc ta, udzielana wielkiemu filozofowi polskiemu, znajdującemu się w ciężkich warunkach materialnych, zaszczyt tylko przynosi tym, którzy ją okazali, samemu zaś Trentowskiemu bynajmniej nie ubliża. We wspomnianym artykule przebija jednakowoż wyraźna tendencja poniżająca.

To rozmyślne rzucanie cienia na wielkich Polaków, jest charakterystycznym dla naszego kraju zjawiskiem. Cui bono odstręcza się ogół społeczeństwa polskiego od genialnych twórców polskiej filozofii, i tak już dostatecznie pomijanych i przemilczanych? Swego czasu Józef Ujejski, w książce - paszkwilu pt. „O cenę absolutu", podał w wątpliwość walory moralne Hoene - Wrońskiego, sugerując czytelnikom opinię, że ten największy nasz myśliciel był mistykiem, wykorzystywaczem bankiera Arsona, a nawet szarlatanem. Obecnie w podobny sposób dąży się do poniżenia Bronisława Trentowskiego, wielkiego autora „Myślini", „Chowanny" i „Panteonu wiedzy ludzkiej".

Nie od rzeczy będzie zauważyć, że ów artykuł w „IKC" pojawił się jednocześnie z wydaniem przez Polską Akademię Umiejętności listów Trentowskiego.

## Hiszpania tworzy „ciało kierownicze"?...

Ajencja Havasa z 22. X b. r. doniosła o utworzeniu w Hiszpanii, z inicjatywy gen. Franco rady narodowej, złożonej z 48 osób, powołanych w równej niemal liczbie spośród dwóch najważniejszych stronnictw Hiszpanii narodowej: falangistów i tradycjonalistów, a więc elementów radykalniejszych i zachowawczych. „Z dekretu, ustanawiającego radę, zasługują na uwagę szczególnie dwa artykuły. Pierwszy postanawia, że wszyscy członkowie rady mianowani będą przez szefa państwa, który zastrzega sobie prawo wyłączania ich z rady i indywidualnego zastępowania innymi członkami. Na zasadzie drugiego artykułu szef państwa oznaczy w tajemnicy swego zastępcę, który będzie proklamowany przez radę narodową w wypadku śmierci lub niezdolności fizycznej szefa. Rada nie posiada władzy wykonawczej, która należeć będzie wyłącznie do ministrów".

Postanowienia te przypominają żywo Hoene - Wrońskiego koncepcję Ciała Kierowniczego. Członkowie jej również mają być mianowani przez szefa państwa; władzy wykonawczej Ciało Kierownicze nie posiada; do zadań jego należy m. in. utrzymywanie ciągłości życia państwowego i wytyczanie mu kierunku rozwojowego.

## Podział na bloki ideologiczne faktem dokonanym

W recenzji p. („Zm") w „Kurierze Poznańskim" o „Genezie filozofii absolutnej" Hoene-Wrońskiego, znajduje się takie zdanie: „Mamy wreszcie obszerne przedstawienie niepokojącej czasy Wrońskiego antynomii społecznej dwóch partyj: partii postępu i partii zachowawców, przy czym Wroński dowodzi zbyt pochopnie, jak się okazało, apriorycznej konieczności i absolutnej trwałości obu tych partyj".

Sądząc z powyższego, zdawało by się, że antynomia społeczna istniała rzeczywiście tylko „w czasach Wrońskiego", że walki pomiędzy prawicą i lewicą nie rozdzierają społeczeństw współczesnych; że wcale nie było rewolucji bolszewickiej, z jej potwornym tępieniem żywiołów zachowawczych; że hitlerowcy nie bili się na ulicach miast z komunistami; że nie było wojny domowej w Austrii; że nie przelewa się potoków krwi w Hiszpanii. Autor tych słów nie dostrzegł, o dziwo! że antynomia społeczna przybrała dziś formę okrutniejszą niż w wieku XIX-tym. A przecież obecna „wojna święta" między faszyzmem i komunizmem, tocząca się we wszystkich punktach globu — czy to pod maską pokoju, czy wprost na polach bitew w Hiszpanii czy w Chinach, to nic innego, jak antynomia społeczna, rozrosła do olbrzymich rozmiarów.

Jeszcze przed kilku laty blok antykomunistyczny zdawał się być mitem; Italia faszystowska zachowywała się neutralnie wobec Rosji, a nawet wyraźnie boczyła się na Niemcy, z powodu akcji „anschlussowej". Dziś Włochy Niemcy i Japonia stanowią ogromny 200-milionowy blok skierowany frontem przeciw Rosji i jej sojusznikom: Francji, Czechosłowacji etc. Niewątpliwie do bloku tego przystąpi wkrótce Hiszpania, Brazylia, Austria, a może i inne kraje. Rozdwojenie ideologiczne świata stało się faktem. I jeśli, nie daj Boże, doprowadzi to do wojny, będzie ona tylko starciem dwu członów antynomii, jak była nim ostatecznie i wojna światowa między mocarstwami demokratycznymi a absolutystycznymi.

Globowy konflikt dojrzewa. Jaką rolę odegra w nim Polska.?

# Nowe książki

## Marian Zdziechowski: W obliczu końca.

Wilno, 1937 r.

Książka Zdziechowskiego jest przejmująca. Przejmująca plastycznym opisem okropieństw rewolucji i reżimu bolszewickiego, oraz apokaliptyczną wizją dni idących.

Dusza Zdziechowskiego nastrojona eschatologicznie odczuwa huk idącej nawałnicy. Autor pisze: „Stoimy w obliczu końca historii. Dzień każdy świadczy o zastraszają-

tych postępach dżumy moralnej, która od Rosji sowieckiej pędząc, zagarnia wszystkie kraje, wżera się w organizmy wszystkich narodów, wszędzie procesy rozkładowe wszczyna, w odmętach zgnilizny i zdziczenia pogrąża".

Książkę Zdziechowskiego otwiera obszerne, źródłowe studium o „Masonii". Warto było by, aby wszyscy nasi sceptycy, którzy bezwiednie może lekceważą sobie masonerię, poznali tę pracę sędziwego i zasłużonego autora. Wtedy zniknęła by może zawstydzająca ignorancja i nonszalancja, jaką niektórzy Polacy okazują temu zagadnieniu, nieświadomi potęgi ani szkód, które wyrządza masoneria. Masoneria „prowadziła świat do śmierci duchowej i wszystkich straszliwych tych następstw, które wyszły na jaw za dni naszych w Rosji sowieckiej, Meksyku, w Hiszpanii...". „Ubezwładnić katolicyzm i zniszczyć — to jest cel, którego nie ukrywają loże Wielkiego Wschodu, te zaś rządzą Francją od upadku prezydenta, marszałka Mac Mahon w r. 1879 aż po dziś dzień".

Następne studia — „Jerzy Cziczerin, Czerwony terror, Tragiczna Europa, Zwiastuny satanizmu w Polsce, Jak upadają cywilizacje, Przyszłość narodu" — poświęca autor analizie „bolszewictwa" i jego zgubnych skutków. Studia te zajmują połowę książki. Kreślą one straszliwy obraz upadku moralnego człowieka na Wschodzie Europy i rozprzestrzenianie się zarazy komunizmu na Zachodzie i w Polsce. Przejmujące to są karty! Wieje z nich groza rzeczy apokaliptycznych. Autor wlał w omawiane fakty gorący żar swej duszy chrześcijańskiej i wielką znajomość przedmiotu.

Z palącym wstydem czyta się słowa zasłużonego ideologa i kierownika duchowego narodu: „Stary jestem, wyczerpany pracą, znużony życiem, zgnębiony daremnością usiłowań" lub te: „...z obawy przed złym humorem jakiegoś Radka zamknięto mi dostęp do Radia, stawiając za warunek, abym teksty wykładów, w których bym zamierzył poruszyć kwestię bolszewizmu, posyłał do aprobaty premierowi państwa oraz ministrowi spraw zagranicznych..." albo te: „Wydałem w roku 1934 szereg szkiców o bolszewiźmie pt. „Od Petersburga do Leningrada". Przepowiadał mi jeden z przyjaciół moich z młodszego pokolenia, dobrze w dzisiejszych prądach zorientowany, że książkę tę prasa cała pogrzebie milczeniem i że nie znajdzie się ani jednego czytelnika. Trochę się mylił, bo w roku pierwszym rozeszło się 300 egzemplarzy i było kilka wzmianek w prasie; reszta egz. spoczywa, za wyjątkiem Wilna, w piwnicach księgarskich — i jeśli przypadkiem ktoś, posłyszawszy o zapomnianej książce, zapragnie ją nabyć, sporo czasu straci, zanim w owych piwnicach egzemplarz jakiś odszukają".

Autor w studiach swych daje nie tylko oświetlenie przerażających faktów, jakie przyniosła i wywołała rewolucja bolszewicka, ale poddaje źródłowej krytyce ideologię marksizmu. Dla Zdziechowskiego, podobnie jak dla Bierdiajewa oraz wybitnych krytyków niemieckich Ehrta i Schweikerta, komunizm jest „kontrreligią, kontrkościołem ze swoim w Moskwie czerwonym papieżem", jest systemem zła, zagarniającym całą sferę polityki; „...trzeba wniknąć, przeżyć — jak się wyraża Fülöp Miller — bezradosne radości bolszewika, aby objąć całą grozę fantastycznie dzikiej myśli, jaka tam powstała, przeistoczenia ludzkości w jeden olbrzymi automat, w obrzydliwego potwora o milionach nóg i rąk, którego nazwano „człowiekiem kolektywnym...". Oto homunkulus dzikiego Wschodu: „...bolszewizm jest, a przynajmniej chce być ze świadomością większą lub mniejszą bezpośrednim porodem Ciemności; było by to bezpośrednim, dotychczas w historii niewidzianym wtrąceniem się potęg Piekła w sprawy tego świata". . . . . .

Autor, który czerwoną Rosję od chwili jej powstania zwalcza jak umie i może, boleje ogromnie nad szerzeniem się komunizmu w Polsce. Jesteśmy na wpływy bolszewickie mało odporni, co więcej, z zadziwiającą ślepotą patrzymy na przejawy komunizmu wśród młodzieży, inteligencji, urzędników. Tolerancja nasza ma wszelkie znamiona nagminnej psychozy, otumanienia i zaczadzenia moralnego. „...bijemy czołem przed każdym fetyszem, byleby na nim wyryte były jakieś hasła modne, jak demokracja, postęp. Grzęźniemy od góry do dołu w nędznym półbolszewiźmie".

Warto przeczytać te smagające gniewem, oburzeniem, bólem i trwogą karty książki Zdziechowskiego, wytykające nam bezmyślność i zaślepienie, obojętność i lekceważenie w stosunku do najpotworniejszego, jaki kiedykolwiek istniał na świecie, zamachu na wolność i ducha człowieka.

Z pozostałych szkiców Zdziechowskiego, odznaczających się, jak zwykle u tego autora, głęboką erudycją i polotem ideowym, wyróżnić należy piękne studia: Św. Franciszek z Assyżu a czasy nasze, Fryderyk Ozanam, Testament księcia Eugeniusza Trubeckiego, Postać królowej Jadwigi na tle czasów naszych. Studia: „Z powojennej psychologii Niemiec", oraz „Antyromantyzm i antygermanizm", wprowadzają nas w regiony zagadnień kultury zachodniej: romańskiej i germańskiej, której niepoślednim znawcą w ciągu całego swego żywota pisarskiego okazał się autor.

Warto jeszcze wspomnieć, że w szkicu „Jak upadają cywilizacje" autor przeprowadza głęboką analizę przyczyn, które złożyły się na wytworzenie obecnej epoki przejściowej dziejów. Poddaje wszechstronnej krytyce i rozbiorowi demokrację i wskazuje jej niezdolność do organizacji życia narodu, jej chorobliwe przerosty i zakłamania: „Bo czym jest demokracja? Jest panowaniem liczby, ale nie nad przywilejem tylko, lecz nad wiedzą i rozumem, więc panowaniem materii nad duchem, supremacją karierowiczów-demagogów, wiodących za sobą spodlone agitacją i roznamiętnione tłumy".

Zdziechowski ze względu na sędziwy wiek uważa „W obliczu końca" niejako za swój testament duchowy i ideowy. Przyjmijmy tę pracę z takim sercem, z takim gorącym żarem uczucia, z jakim była pisana. Zawiera ona bowiem i mądrość doświadczenia, i mądrość starości. Dla młodego pokolenia Polaków być może busolą ich czynów, korektorką ich pojęć o Ojczyźnie, o obowiązku chrześcijanina i człowieka.

Niech że nareszcie nie dzieje się u nas tak, że wielcy w narodzie u schyłku swego wieku przerażeni bywają wizją zguby, jaka nieuchronnie wisi nad nami, gdy „W obliczu końca" nie zdobędziemy się na jednolity czyn ofiary, wysiłku i sprawiedliwości, który to czyn jedynie odkupić i zbawić nas może.

*Antoni Madej.*

**Rocznik literacki za rok 1936.**

Pod redakcją Zofii Szmydtowej. 276 str. Instytut Literacki. W-wa 1937.

Wydawnictwo bardzo pożyteczne — szkoda, że niemal wyłącznie informacyjne. Rocznik winien się przecie czymś różnić od przeglądu bieżącej produkcji książkowej: chciało by się jakiegoś syntetycznego ujęcia kierunków, jakiejś diagnozy literatury dzisiejszej, jeśli już nie prognozy jutrzejszej. No i wprawdzie jest tego trochę, ale właśnie: trochę. Przeważnie zaś mamy tu streszczenie poszczególnych książek z dodaniem paru uwag krytycznych; gdzie niegdzie zaś — dosyć nieoczekiwane wypady polemiczne na tematy zupełnie szczegółowe.

Wstępna rozprawka Irzykowskiego, piętnująca wybu-

jały i mało twórczy autobiografizm współczesnej powieści polskiej, jest niewątpliwie godna uwagi, lecz i ona sprawia w tym miejscu wrażenie czegoś raczej przypadkowego.

Z największym zajęciem czyta się partie, napisane przez L. Piwińskiego i K. Zawodzińskiego. Zawodziński pisze — językiem niestety mocno chropowatym i „nawiasistym" — o poezji, mając o niej, jak zwykle, wiele ciekawych i zastanawiających rzeczy do powiedzenia. Zwłaszcza w zakresie t e c h n i k i wiersza jest on bezspornie jednym z najwytrawniejszych u nas znawców. Imponuje też jego bezstronność: w niniejszym Roczniku nawypowiadał dużo gorzkich bardzo prawd najulubieńszym swym poetom—Tuwimowi, Iłłakowiczównie... A już najdotkliwsze cięgi wziął tym razem Leśmian.

Piwiński omawia powieść — spokojnie, rzeczowo, z wielkim poczuciem odpowiedzialności za wygłaszane sądy.

W rozdziale o przekładach z rosyjskiego, zanotowano symptomatyczny i poniekąd pocieszający fakt, jakim jest odpływ snobistycznych uniesień nad wszystkim co bolszewickie. Opinia europejska, a z nią i polska, trzeźwieje i stygnie w swych zapałach do „wielkiego eksperymentu". Ilość spolszczonej w roku sprawozdawczym beletrystyki sowieckiej skurczyła się gwałtownie.

Tłómaczeń z serbochorwackiego i ukraińskiego nie omówiono wcale.

O czasopismach literackich pisze W. Bąk. Z zaciekawieniem szukamy wzmianki o Zecie. Jest. Oto ona: „Z dwutygodników na pierwsze miejsce wysuwa się Z e t. W dalszym ciągu uprawia on politykę niezwracania uwagi na czytelnika. Czytelnik odwdzięcza mu się tym samym (1). Pismo to z uporem usiłuje popularyzować filozofię Hoene-Wrońskiego (2). Wysiłki jego idą jednak na marne (3). Zwrócić także należało by uwagę na specyficzną gwarę pseudofilozoficzną, której często Zet hołduje (4). Czytelnik nie bez pewnej melancholii przypatruje się pismu. Tyle starań, tyle ambicji i tyle upartej konsekwencji — wszystko to bez możliwości szerszego oddziaływania (5)".

A d 1. Czyli „niezwracaniem uwagi na czytelnika"? A d 2. Nie mniej zastanawia upór, z jakim czasopisma matematyczne prawią wciąż o matematyce, a medyczne o medycynie. A d 3. Nie zupełnie. Chciało by się pokazać kol. Bąkowi stosy napływających do nas sążnistych listów, świadczących o coraz głębszym wnikaniu w trudną naukę Wrońskiego. I jakże rozmaici piszą je ludzie! Od znakomitego kompozytora poznańskiego lub dyrektora gimnazjum w Grodzisku aż do chłopa z Bolenia. A d 4. Gdyby W. Bąk powiedział: gwara pseudopolska, miałby może słuszność, bo istotnie niektóre nasze artykuły grzeszyły makaronizmem: Ale dlaczego „pseudofilozoficzna"? Proszę nam wskazać w Zecie c h o ć j e d e n błędnie użyty termin filozoficzny. A d 5. Jeżeli nawet czytelnika bierze melancholia, to cóż powiedzieć o nas. Uczucie bliskie tragizmu: widzieć tonących i w żaden sposób nie móc ich namówić, żeby się wdrapali do łodzi ratunkowej — gdyż to dla nich za duża fatyga! V a e s i n o n r e v e l a b o. Czy tylko myśmy winni, czy też może i ta beznadziejna płycizna i bezmyślność, której, według własnych słów Bąka, znakomita większość pism polskich schlebia tak karygodnie? My różnych próbujemy sposobów uprzystępniania: oto i teraz trochęśmy zmienili typ naszego pisma; ale żuć i połykać musi już sam „odbiorca" — na to nie ma rady.

Tyle pro domo nostre.

Razi w tym Roczniku niedbała korekta i nieustalona pisownia.

*Cz. J. K.*

## Jan Karnik: Poesie svobodné Polsky

Nakładem Mazacza w Pradze znany tłumacz Jan Karnik wydał tom przekładów z poezji polskiej. Przekłady wyszły w liczbie 3 tysięcy egzemplarzy, jako piąty tom „Biblioteki Polskiej", w składzie której m. in. figurują Berenta „Żywe kamienie", Kuncewiczowej „Cudzoziemka", Nałkowskiej „Granica".

Jan Karnik (właściwe nazwisko dr. Josef Svitil) jest wypróbowanym przyjacielem poezji polskiej. Świadczy o tym poprzednio wydany (r. 1930) wybór poezji polskiej pt. „Z polského Parnasu", poświęcony przeważnie utworom Kasprowicza i Staffa z uwzględnieniem twórczości Tuwima i Zegadłowicza. Karnik wydał również tom szkiców o literaturze polskiej pt. „Pod peruti bílého orla" (Pod skrzydłami białego orła).

Omawiana antologia obejmuje kilkanaście nazwisk (M. Pawlikowski, Kasprowicz, Rostworowski, Staff, Or-Ot, Makuszyński, Iłłakowiczówna, Bunikiewicz, J. Pietrzycki, Ejsmond, J. Birkenmajer, Zegadłowicz, Gałuszka, Tuwim, Jerzy Braun, M. Pawlikowska, Madej, Brzostowska, Liebert, Sztaudynger, Fierla, Czereśniewski, Bąk). Oddaleniem swoim od środowisk literackich (autor mieszka w Nowym Mieście na Morawach) oraz predylekcją do pewnych tematów i autorów tłumacz usprawiedliwia się z braku umieszczenia w swej antologii niektórych wybitnych poetów polskich.

Mimo wszystko dotkliwie razi w antologii brak Ostrowskiej, Wierzyńskiego, Iwaszkiewicza oraz z młodszych Piechala, Łobodowskiego i Sebyły.

Nie wspominam tu o poetach awangardowych, gdyż ci poeci są zupełnie duchowo obcy tłumaczowi i ostatecznie tłumacz ma prawo wyboru utworów i zestawienia nazwisk według pewnej koncepcji.

W tym wypadku Karnik wybrał utwory, które były mu bliskie, bądź to ze względu na tematykę i akcenty religijne bądź też ze względu na tradycyjność formy. Karnik na gruncie czeskim jest żarliwym obrońcą kultury zachodniej i Kościoła: „Tylko zgodą obronimy my, środkowo europejscy Słowianie, swą kulturę zachodnią od rozkładu Wschodu. A co jest kulturą Zachodu? Antyk i chrześcijaństwo". Tak oto wypowiada się Karnik we „Wstępie" do antologii na ten temat.

Pominięcie więc w zbiorku przedstawicieli awangardzistów polskich można wytłumaczyć niechęcią Karnika do formy niezrozumiałej i tematyki ekstrawagancyjnej.

Tom przekładów otworzył tłumacz prologiem utworu „Wierzę w jednego Boga" M. Pawlikowskiego. Na ogół wśród przekładów przeważają wiersze o nucie religijnej. Antologię zamykają liczne przekłady z Bąka. Strona formalna przekładów jest bez zarzutu. Karnik tłumaczy wiernie i z odczuciem.

Jak sam autor wyznaje, książkę tę zrodziły: głęboka miłość do poezji i pragnienie zbliżenia kulturalnego dwu bratnich narodów. Tym tłumaczyć należy przekłady wierszy oraz ciepłe słowa przyjaźni dla tych poetów, którzy zajmują się przeszczepianiem poezji czeskiej na grunt polski.

Przytoczone we „Wstępie" do antologii słowa Wrońskiego o konieczności zbliżenia i współpracy narodów słowiańskich wyświetlają dostatecznie ideowy cel Karnika.

Mimo więc braków, antologię powitać należy z uznaniem.

Nie jesteśmy pewni, czy autor propagując literaturę polską nie czuje się dosyć odosobniony w swym kraju?

*ant.*

# Wrońskiana

Paulin Chomicz wygłosił w dniu 21 października w lokalu Warszawskiego Obserwatorium Astronomicznego referat pt. „Podstawowe prawo rozszerzania się gazów", w którym podał wywód odnoszącego się do omawianego zagadnienia prawa energetycznego Hoene-Wrońskiego. Po odczycie wywiązała się ożywiona dyskusja.

Polska Akademia Umiejętności wydała ostatnio „Listy Bronisława Trentowskiego (1836 — 1869)", w pięknym i starannym opracowaniu prof. Stanisława Pigonia. Obszerne to dzieło (557 stron in quarto), obejmujące całokształt spuścizny listowej filozofa, zawiera m. in. bogaty zbiór listów do Niedźwiedzkiego, przyjaciela Wrońskiego. W listach tych wyraża Trentowski wielokrotnie zdanie swe o filozofii Wrońskiego; znajdziemy też w nich ciekawe przyczynki do biografii twórcy mesjanizmu.

Książkę tę omówimy obszernie w jednym z najbliższych n-rów „Zetu".

W „L'Echo de Varsovie" z dn. 17 i 21 lipca r.b. H. de Monfort, sekretarz Instytutu Francuskiego, w artykule swym p.t. „Un génie meconnu", nawiązując do faktu odsłonięcia w r.b. nagrobka Hoene-Wrońskiego w Neuilly koło Paryża, przypomniał niektóre wypadki z życia naszego mędrca, zresztą dobrze znane biografom Hoene-Wrońskiego; zarazem wymienił pewien fakt biograficzny, nieznany dotychchczas, a godny naszej uwagi i zapamiętania. Otóż, znamienity francuski astronom, członek Instytutu, Antoni Franciszek Józef Yvon-Villarceau, gorący wielbiciel Hoene-Wrońskiego, światły i kompetentny rzecznik jego doktryny matematycznej i szlachetny obrońca jego czci, w dniu swej śmierci 23 grudnia 1883 r., jako ostatnie swe słowo wymówił imię Hoene-Wrońskiego. — Z faktem tym ściśle wiąże się inny, nieznany dotychchczas a podany w liście A. Roussela do F. Bertinaria z dn. 25 października 1877 r.: francuski matematyk Abel Transon, który napisał był dwie cenne rozprawy z zakresu matematycznej doktryny Hoene-Wrońskiego, lecz potem pod wpływem podszeptów i nalegań swych kolegów, wycofał je z obiegu księgarskiego, na łożu śmierci zlecił swemu przyjacielowi, wspomnianemu astronomowi Villarceau, zajęcie się dziełami Hoene-Wrońskiego. — Jest to jeszcze jedno świadectwo, jak potężny wpływ wywierał Hoene-Wroński na umysły głębokie, szukające prawdy.

Na III Polskim Zjeździe Matematycznym, który odbył się w Warszawie w b. r., imię Hoene-Wrońskiego, jak wzmiankowaliśmy w poprzednim N-rze „Zet", wymieniano kilkakrotnie. Imię naszego filozofa rozbrzmiewało też na wszystkich niemal kongresach w Polsce o charakterze naukowym, bądź oświatowym, mianowicie na kongresach: naukowym polskim w r. 1920, filozoficznym słowiańskim w r. 1927, matematycznym słowiańskim w r. 1929, pedagogicznym słowiańskim w r. 1931, kobiecym słowiańskim w r. 1931, matematycznym polskim w r. 1931, międzynarodowym historyków w r. 1933, astronomicznym polskim w r. 1934 i filozoficznym polskim w r. 1936.



## Trentowski o Wrońskiego filozofii matematyki

Wroński od francuskich matematyków nigdy nie będzie i nie może być uznany za wielkiego matematyka. Czemu? Właśnie dlatego, że on nie jest jedynie matematykiem, lecz także filozofem. Matematyka jest konstrukcją form przestrzeni i czasu, a daje prawa skończoności. Jej przedmiot jest i musi być zawsze coś oznaczonego. Filozofia zaś szuka nieskończoności, nieoznaczoności. Wroński pisał nie matematykę, ale filozofię matematyki.

Stąd zaczyna od najwyższego prawa: alfa rozmnożone przez omega, początek żeniący się z końcem, a podnoszony do najwyższej potęgi. Prawo to jest absolutem lub filozoficzną ideą, algorytmicznie wyrażoną. To oznaczona nieoznaczoność. Matematyk Francuz widzi w tym sprzeczność logiczną, lub niematematyczność, a dążąc zawsze do oznaczoności, nie wie co począć z nieoznaczonością taką. A ponieważ pod to najwyższe prawo Wroński podciąga całą matematykę, co bardzo filozoficznie, więc matematyk francuski wszystko odpycha. A jak Napoleon w Kancie, tak on w matematyce Wrońskiego widzieć musi ideologię. Jest to dowód ogólnego nieuctwa filozoficznego, a raczej, brak usposobienia do filozofii. I Wroński mylił się mocno, licząc na rozum francuski i pisząc dla Francuzów. Oni niezdolni są do pojęcia dzieł jego.

Niemcy znowu nie uznają nigdy Wrońskiego za wielkiego filozofa. Filozofia wypowiadać ma nieskończoność i nieoznaczoność. Uczynić to może tylko za pomocą idej, które są również nieskończone i nieoznaczone. Wroński tymczasem czyni to za pomocą algorytmów lub równań algebraicznych, które są skończone i oznaczone. Nieskończoność brać w formuły skończone, a nieoznaczoność chcieć matematycznie oznaczać, to dla filozofa niemieckiego *horrendum, stupidum!*

Wroński pojęty być może tylko od Polaka, a może także od Włocha, tj. od wszechstronnego ducha, którego nie ma ani Francuz, ani Niemiec, a który to pojmuje, że wiekuista nieskończoność i nieoznaczoność jest achrematyczną czasowej skończoności i oznaczoności istotą i iściną, a znowu skończoność i oznaczoność koniecznym istoty i iściny tej wyjawem, że jedna i druga tu strona należą do siebie, są nierozdzielne. Przed takim widokiem matematyka Wrońskiego ukazuje się *summum lucis*. Nie wiem, czyli mnie pojmujesz. Ale jeśli mnie zrozumiesz, to mi przyznasz ,że właśnie ten charakter nauki Wrońskiego, lubo on pisał po francusku, jest najwyborniejszym duszy i narodowości polskiej wyrazem.

(„Listy Bronisława Trentowskiego" — w opracowaniu St. Pigonia. Z „Listu do Niedźwieckiego").


Redakcja i Adm.: Warszawa, Chmielna 68 m. 37, tel. 6-61-64. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.

Prenumerata: półroczna 2,50 zł., roczna 5 zł. P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210

Zakł. Graf. „DŹWIGNIA", Warszawa, Widok 24, tel. 665-39.